

MIĘDZY CYWILIZACJAMI

**O DWUDZIESTOWIECZNYCH LOSACH MIESZKAŃCÓW WOJEWÓDZTWA BIAŁOSTOCKIEGO Z ADAMEM DOBRŃSKIM, JANEM JERZYM MILEWSKIM I EUGENIUSZEM MI-
RONOWICZEM ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Białostoczczyzna stała się w powojennym krajobrazie Polski obszarem kresowym. Region w znacznej mierze mający charakter rolniczy, z kilkoma ważnymi węzłami kolejowymi, niewielką infrastrukturą przemysłową, w swej charakterystyce ma jeszcze jedną cechę – szczególnie w części wschodniej – jest pograniczem polsko-rusko-litewskim. To obszar, na którym toczyły się pewne konflikty polityczno-etniczne związane z okupacją tych terenów przez Sowieców i Niemców.

A.D. – Dla Białostoczczyzny bilans II wojny światowej był bardziej tragiczny niż dla Polski centralnej. Wiązało się to po pierwsze z dwoma okupacjami, a nie tylko z jedną – niemiecką. W końcu września 1939 r. nowa granica państwowa odcięła Białostoczczyznę przede wszystkim od Wilna, co odczuło niezwykle boleśnie. Przed wojną centralne i wschodnie tereny obecnego województwa podlaskiego, wyłączając łomżyńskie, ciążyły wyraźnie pod względem ekonomicznym, kulturowym, politycznym, religijnym do miasta nad Wilią. Kolejną różnicą była pochodną bardzo silnego na tych terenach osadnictwa żydowskiego. W samym Białymstoku przed wojną istniał niemalże stan równowagi między ludnością chrześcijańską a wyznawcami religii możeszowej, w mniejszych miasteczkach zaznaczała się wyraźna przewaga ludności żydowskiej – stąd też zagłada tej ludności na Białostoczczyźnie wywołała bardzo znaczące skutki. I wreszcie, co jest też ogromnie ważne, dla terenów Białostoczczyzny majowa data zakończenia II wojny światowej była tylko symboliczna, bo tu nadal działało bardzo intensywnie podziemie niepodległościowe, zasilone m.in. przez AK wileńską. W odniesieniu do tych terenów uprawnione jest używanie terminu wojna domowa. Przeciągnęła się ona do końca lat czterdziestych, a ostatni uczestniczący w niej oficer zginął w 1957 r. W nowej rzeczywistości politycznej Białostoczczyzna stała się terenem peryferyjnym, zapóźnionym gospodarczo, skazanym na vegetację. Tu najostrej wystąpiły kwestie narodowościowe, które były powodem dodatkowych konfliktów oraz ingerencji ze strony wschodniego sąsiada. Na długo zaciążył fakt, że do władzy doszły osoby przede wszystkim ze środowisk mniejszościowych, co wcale nie znaczy, że były ich reprezentacją. Wobec niechęci zdecydowanej większości Polaków do nowej władzy i słabości polskiej, szeroko rozumianej rodzimej lewicy (nie powstała AL, nie było nawet Batalionów Chłopskich) to one właśnie zasiły struktury partyjne, administracyjne i aparat represji. Do 1956 r. elita rządząca Białostoczczyzną uchodziła, i słusznie, za najbardziej pro-

sowiecką, czerwoną, izolującą się od nowinek z zachodu. Taki stan rzeczy przeciągnął się także na późniejsze lata.

Te historyczne odmienności mają zresztą bardzo dawną metrykę. Sam Białystok powstał na pograniczu Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, w 1807 r. nie dane mu było znaleźć się w Księstwie Warszawskim, a po 1815 r. w Królestwie Polskim. Z woli cara Aleksandra I i cesarza Napoleona tak zwany obwód białostocki (z Bielskiem, Drohiczynem i Sokółką) dostał się Rosji, szybciej i konsekwentniej prowadzono tu rusyfikację, mieszano narodowości i wyznania. Niespodziewanie natomiast doszło po 1832 r. do powstania białostockiego okręgu przemysłowego, a jego główny ośrodek zyskał miano „Manchesteru Północy” lub „młodsze go brata Łodzi”. Przed I wojną światową Polacy stanowili w Białymstoku nie więcej niż 20 proc. mieszkańców, nawet wolność nastąpiła tu później, bo 19 lutego 1919 r.

B.P. – To „zaczerwienienie” Białostocczyzny nie było odbiciem nastrojów wszystkich jej mieszkańców. Warto zatrzymać się przy tym i skonfrontować strukturę narodowościową i społeczną przedwojennej i powojennej Białostocczyzny.

E.M. – Zróżnicowanie Białostocczyzny – na część zachodnią i wschodnią – wyraźnie nastąpiło w okresie międzywojennym. Wschodnia część województwa białostockiego w znacznej części zamieszкана była nie tylko przez ludność żydowską, ale także białoruską. Wydaje mi się, że błędy popełnione w polityce narodowościowej w okresie międzywojennym zepchnęły tę ludność nie tyle w kierunku orientacji prosowieckiej, ile na pozycję oczekiwania na jakiegokolwiek zmiany. W Polsce u schyłku lat trzydziestych w polityce obozu sanacyjnego zwyciężyła koncepcja asymilacji narodowej Białorusinów. Tę politykę prowadzono nie tylko przez likwidację ostatnich białoruskich szkół i instytucji kulturalnych, które istniały jeszcze w latach dwudziestych, ale także przez prześladowania działaczy narodowych oraz przymusową polonizację Cerkwi prawosławnej. W 1939 r. drukowano treść kazań dla duchownych prawosławnych i kazano im wygłaszać je według konspektu rządowego. Ta polityka prowadziła Białorusinów do poczucia upokorzenia. Liczne dokumenty świadczą o tym, że ta ludność oczekiwała jakichkolwiek zmian. W 1939 r. wiele osób sądzono za to, że mówiły, iż za chwilę te zmiany nastąpią, bo przyjdą Sowietci, przyjdą Niemcy. Świadczy to o tym, że nie tylko oczekiwano zmian, ale także wierzono, że wkrótce nastąpią. Liczne ślady takich postaw można znaleźć w aktach przedwojennej białostockiej prokuratury. Nie oznacza to, że oczekiwano tu państwa sowieckiego, raczej jakiegoś państwa ruskiego, które można byłoby uznać za swoje, które nie prześladowałoby z racji inności religijnej czy narodowej.

B.P. – Wkroczenie Armii Czerwonej we wrześniu 1939 r. oraz przyniesiony przez nią system polityczny zmieniły dość radykalnie postrzeżenie sowieckiego sąsiada przez Białorusinów.



E.M. – Ludność białoruska z akceptacją przyjęła wejście wojsk sowieckich, to nie ulega wątpliwości. Ale po kilku miesiącach ze względu na praktykę polityki sowieckiej – społeczną, gospodarczą, religijną – zorientowano się, że to nie są ci ruscy, których czekano, i że to nie jest ta władza, która stworzy tu wreszcie alternatywę dla nieakceptowanej sanacji. W 1941 r. powszechne było oczekiwanie na kolejne zmiany. We wszystkich województwach wschodnich II Rzeczypospolitej wkraczającą armię niemiecką w 1941 r. mieszkańcy tych ziem witali z nadzieją na zmiany. Niemców przede wszystkim postrzegano poprzez pryzmat ich obecności w okresie I wojny światowej. Okupacja niemiecka z tamtego czasu w województwach wschodnich została zapamiętana wyjątkowo dobrze ze względu na politykę gospodarczą, kulturalną i oświatową, i dlatego uważano, że sytuacja się polepszy. Wkroczenie Niemców podczas II wojny jeszcze bardziej jednak skomplikowało stosunki narodowościowe. W 1941 r. Polacy pamiętali to, że Białorusini cieszyli się w 1939 r. z wkroczenia Sowieców. Latem 1941 r., za sprawą powrotu do pracy przedwojennych funkcjonariuszy i urzędników polskich, zdarzyło się wiele przykrych dla Białorusinów incydentów, Niemcy rozstrzelali setki osób. Białorusini, a zwłaszcza działacze, uważali, że wszystko to dokonało się za sprawą donosów polskich urzędników i policjantów. To było dodatkową motywacją do poszukiwania porozumienia z Niemcami w celu wyeliminowania wpływów polskich. W okresie okupacji niemieckiej były próby utworzenia przez Białorusinów własnych struktur państwowych. Te z kolei były postrzegane przez polskie podziemie jako przejaw nielojalności wobec państwa polskiego. Działacze białoruscy, którzy przybyli na Białostoczczyznę, czy to z Mińska, czy z Wilna, czy z Warszawy, bo i tacy byli, traktowali swoje działania organizacyjne jako początek tworzenia jakiejś państwowości pod patronatem niemieckim – przez stronę polską postrzegani byli jako ci, którzy godzą w Polskie Państwo Podziemne.

A.D. – Używano wręcz potocznie określenia „białoruskie gestapo” i uważano, że nie jest ono mniej brutalne w działaniu od tego niemieckiego. Były przecież białoruskie siły policyjne, które brały udział na przykład w łapaniach.

E.M. – Niemcy stosowali taką politykę – do pacyfikacji wiosek polskich brali policjantów białoruskich do asysty – do pacyfikacji wiosek białoruskich brali policjantów polskich. Jedni więc widzieli jako satelitów niemieckich Białorusinów, drudzy Polaków. To wszystko nakładało się na siebie. Faktem jest, że ci Białorusini, którzy byli po stronie Niemiec, raczej wycofali się z Białostoczczyzny na zachód wraz z armią niemiecką. Sprawą zasługującą na uwagę jest to, że Stalin nie zezwolił na tworzenie polskiego podziemia komunistycznego – struktur PPR, Krajowej Rady Narodowej na Białostoczczyźnie. Tutaj były komitety antyfaszystowskie, w których działali Rosjanie, Białorusini i Polacy, wszyscy. Na całej zachodniej Białorusi nie było polskiego podziemia komunistycznego. Było

za to (w zakamuflowanej formie pod płaszczykiem tych właśnie komitetów antyfaszystowskich) podziemie sowieckie. W związku z tym zaraz po wyzwoleniu nie można było wytworzyć struktur władzy komunistycznej na podstawie polskiego podziemia komunistycznego, tak jak w centralnej Polsce. Dlatego w pierwszych dniach po ustąpieniu Niemców władze przejęło podziemie prołondyńskie, akowskie. Władza komunistyczna, pepeerowska, przyjechała w postaci delegacji trzydziestu paru oficerów i podoficerów Wojska Polskiego z Lublina. I taki był tutaj jej początek. Desant z Lublina proponował udział w tworzeniu nowego aparatu władzy przede wszystkim miejscowym Polakom. Społeczeństwo polskie znajdowało się jednak w orbicie wpływów podziemia. Znacząca jego część pozostała głucha na te wezwania.

J.M. – Warto jednak zwrócić uwagę, że Białorusini (a może ściślej – prawosławni) w województwie białostockim w 1945 r. to tylko czwarta część mieszkańców, skupiona we wschodnich i południowych regionach województwa. Społeczeństwo polskie też nie było jednolite. Na zachodzie województwa już w okresie międzywojennym bardzo silne były wpływy narodowej demokracji, a później silne podziemie narodowe. Po wojnie niekiedy dochodziło również do konfliktów między podziemiem poakowskim i poendeckim. Jedni i drudzy oczywiście stanęli przeciwko PKWN, licząc zresztą, że komunistyczne rządy będą tymczasowe.

E.M. – A dla społeczności białoruskiej to znowu byli Polacy, polski rząd, polska władza, ale która proponuje miejsca w swoich szeregach. I to była propozycja przede wszystkim dla chłopów, którzy w okresie międzywojennym z wielką zazdrością patrzyli na polskiego urzędnika, policjanta, nauczyciela itd. Pełnienie tych funkcji obecnie zaproponowano także im. Więc oni to brali. Będąc urzędnikami gminnymi, działaczami partyjnymi, milicjantami, przez społeczeństwo polskie byli postrzegani jako ci, którzy wspierają władzę komunistyczną. Pojawiło się więc następne pole konfliktu. Sytuacja, z punktu widzenia środowisk białoruskich, była taka – wspierać komunistów lub liczyć się z możliwością powrotu do stanu sprzed 1939 r. i tego poczucia upokorzenia, które dobrze pamiętano, ewentualnie perspektywa włączenia Białostocczyzny do ZSRS. O tym również myślano z przerażeniem, bo pamiętano kolektywizację, znikających gdzieś ludzi, polowania na kułaków itd. Wybór z ich punktu widzenia był oczywisty. Stąd też tutejsi Białorusini nie mogli być przeciwko władzy polskich komunistów. Ci, którzy zostali do niej wciągnięci, w niej pozostawali. Powszechne poparcie dla tej władzy pojawiło się wraz z uaktywnieniem się polskiego podziemia niepodległościowego. Konfrontacja z nim spowodowała przerażenie i strach. Ludzie to do dzisiaj pamiętają. Obce systemy – Sowietci, Niemcy – oni przychodzili i odchodzili. Wiadomo było, że przystosowanie się do zaleceń władzy okupacyjnej, sowieckiej czy niemieckiej, dawało szansę na przetrwanie. Natomiast to, co się działo po wojnie, wywoływało stan, który trudno było zdefiniować, bo często w roli



oprawców pojawiali się sąsiedzi, o których wiadomo, że pozostaną sąsiadami. To było wielkie zaskoczenie, któremu towarzyszyło przerażenie. Wraz z konfliktem politycznym ujawnił się konflikt etniczny. Przypadków ofiar było niewiele, ale te ponad kilkaset osób zabitych tworzyło czarną legendę. Niemal każdy miał kogoś, kogo utracił. Zapamiętał chwile grozy, gdy nocą przychodziły oddziały, gdy trwały poszukiwania, zabieranie majątku. To zostało w pamięci jako koszmarne dwa, trzy lata po wojnie.

B.P. – Jak liczna była białoruska mniejszość w granicach powojennych Polski?

E.M. – Według dokumentów, które znajdują się w Polsce i na Białorusi, w granicach polskich zaraz po wojnie było około 160 tys. Białorusinów. (Władze sowieckie też przeprowadziły bardzo dokładną ewidencję tej ludności i jej majątku). 38 tys. wyjechało, więc w przybliżeniu pozostało 125 tys. Białorusinów.

B.P. – W jakim trybie wyjechali?

E.M. – Na mocy porozumienia między PKWN a rządem sowieckiej Białorusi. Analogiczne porozumienie zostało zawarte z rządami sowieckiej Litwy i Ukrainy. Wyjazdy trwały do czerwca 1946 r.

B.P. – A kto wyjechał?

E.M. – Przede wszystkim wyjechali ci, którzy ulegli propagandzie sowieckich komisarzy. Komisarze sowieccy byli w każdej wsi. Zanim front ruszył znad Wisły, na Białostocczyźnie pracowali politrucy i przekonywali. Mówiono o przynajmniej 30 hektarach ziemi na Białorusi lub nad Wołgą – jeśli ktoś tam chciał jechać – gdzie były bardziej żyzne ziemie...

B.P. – Mówiono. I co dalej?

E.M. – Pierwsze transporty dotarły do granicy mongolskiej. Znaleźli się w nich ci, którzy poddali się czarowi tych obietnic, kilka tysięcy ludzi. Tam miało być prawdziwe państwo robotników i chłopów, wielkie gospodarstwa. Raj na ziemi. Część z nich później wróciła – ci, których rozmieszczono na Białorusi. Oni często koczowali na dworcach i w innych dziwnych miejscach. Granicą jeszcze nie była do końca zamknięta, więc wrócili i przyjmowali każde warunki, żeby tu pozostać, na swojej ziemi. Większość z tych, którzy wyjechali, pochodziła z obszarów wzdłuż pogranicza etnicznego polsko-białoruskiego, zwłaszcza z powiatu bielskiego. W 1946 r., gdy sąsiednie wsie zostały spalone, ludzie uciekali na wschód województwa, ale też i dalej, aż do Sowietów. Rozpoczęła się emigracja do województw centralnych, to też była jakaś alternatywa. Tym bardziej że zachęcano do wyjazdu na wielkie budowy, do odbudowy kraju.

J.M. – Wśród tych, którzy zdecydowali się na przesiedlenie, była jeszcze jedna kategoria. To w znacznej mierze ci, pochodzący z terenów mieszanych, którzy byli aktywni za „pierwszego Sowietą”, a także niektórzy współpracownicy „Komitetu Białoruskiego” z czasów okupacji niemieckiej, którzy przesiedlali się, bojąc się represji: jedni ze strony podziemia, a drudzy – władz. Nie mieli żadnych wątpliwości, że pozostanie w Polsce łączyłoby się z niebezpieczeństwem. No i jeszcze ci, którzy mieli spalone zabudowania, zniszczony majątek, kobiety, których mężowie nie wrócili z wojny. Tu nic już nie mieli, wyjazd, przesiedlenie było dla nich szansą. To oczywiście było w pewnej sprzeczności z doświadczeniami z lat 1939–1941, bo przecież tamta władza nie była taka, jak ją sobie wyobrażano, choć trzeba przyznać, że nie wszyscy oceniali ją jednoznacznie źle. Jednak gorzej niż same władze sowieckie, które myślały, że setki tysięcy Białorusinów przesiedli się do Związku Sowieckiego. Tam przecież brakowało ludzi. Obawiano się, że jeżeli do Polski repatriują się Polacy, nie będzie komu pracować.

B.P. – **W czasie wojny to właśnie Białoruś poniosła największe straty ludnościowe.**

J.M. – Co czwarty mieszkaniec zginął. Władze sowieckie wręcz zwracały się do władz polskich z prośbą o interwencję, żeby zmusić do wyjazdu do ZSRS te osoby, które zapisały się na przesiedlenie, bo niektórzy rozmyślali się, uznając, że podjęli pochopną decyzję. Wynikało to z doświadczeń Białorusinów z władzą sowiecką, ale przede wszystkim była to kwestia przywiązania do swojego kawałka ziemi, do swojej ojcowizny.

E.M. – Sowiecka strona liczyła, że da się wywieźć z Polski około 400 tys. ludzi. Szacowano to na podstawie carskiego spisu ludności z 1907 r. Opierał się on na kryterium językowym, nie uwzględniono natomiast czynnika wyznaniowego. Jako Białorusinów potraktowano wówczas również katolików mówiących językiem białoruskim. Po wojnie władze sowieckie policzyły wszystkich swoich Polaków (katolików), wyszło im około 550 tys., więc mogły na tej wymianie stracić 150 tys. osób, zakładając, że z Polski przywiozą 400 tys. Białorusinów. Ale kiedy przeprowadzono dokładną analizę sytuacji na Białostocczyźnie, wyszło im, że realnie można przewieźć na wschód około 150 tys. ludzi. Zorientowano się bowiem, że katolicy mówiący językiem białoruskim mają polską świadomość narodową. W 1946 r. zaczęto utrudniać Polakom, katolikom wyjazd z Białorusi. Władza sowiecka przekonywała katolików, że są Białorusinami. Na wielką skalę prowadzono propagandę pod hasłem, że nie powinni mylić wyznania z narodowością. Obiecywano, że będzie można zatrzymać własne gospodarstwo. I rzeczywiście, do 1948 r. praktycznie nie przeprowadzano kolektywizacji na tym obszarze, uczono języka polskiego. Wszystko to po to, by ludzie nie wyjeżdżali. W ten sposób zahamowano odpływ ludności ze wschodu na zachód



i nie domagano się przesiedlenia ludności białoruskiej. Zachowano równowagę. I tam, i po stronie polskiej respektowano zasadę dobrowolności wyjazdu. Jeden z komisarzy polskich z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, którzy zajmowali się organizacją przesiedleń z Białorusi do Polski, pisał w raporcie do rządu tymczasowego, że w zasadzie ludzie nie mają żadnej motywacji, aby się przesiedlać. Mają dość dobrze prosperujące gospodarstwa, konie, krowy. Jechać w nieznaną, zostawiać swoje gospodarstwa? Od miejscowej ludności niczym się nie różnią, nawet mówią tym samym językiem, tylko katolicy uznają się za Polaków, a prawosławni za Białorusinów. Spośród 550 tys. ludzi, którzy w pierwszej chwili zarejestrowali się do wyjazdu, 265 tys. podpisało deklarację o woli pozostania. Wyjechała z Białorusi przede wszystkim ludność miejska, wiejska w większości pozostała.

J.M. – Efekt tych ruchów ludnościowych był taki: polskie władze uznały, że skoro Białorusini wyjechali na Białoruś, tu pozostali tylko Polacy, więc niepotrzebne są szkoły i organizacje białoruskie. Po drugiej stronie granicy, na Grodzieńszczyźnie, praktyka była podobna. Gdy skończyły się wyjazdy, a znaczna część Polaków pozostała, po 1948 r. zamknięto polskie szkoły i rozpoczęto kolektywizację.

B.P. – **Niemniej Białorusini byli na Białostocczyźnie. I o ile władze sprawiały wrażenie, że o tym nie wiedzą, o tyle na poziomie życia społecznego ich obecność była źródłem różnych napięć.**

J.M. – Polskie społeczeństwo, polskie organizacje podziemne miały wiele obaw dotyczących przebiegu granicy wschodniej, czy aby przypadkiem tej granicy nie przesunie się jeszcze dalej na zachód. Z wielkim niepokojem przyglądano się wszystkim działaniom, które mogłyby być oznaką, że Sowietci chcą przesunięcia granicy. Do tej pory uważano za mit, że pewne grupy Białorusinów występowały z propozycjami przyłączenia wschodniej części województwa białostockiego do Związku Sowieckiego. Ale to nie były tylko urojenia, bo były i takie działania władz sowieckich, że po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1944 r. w niektórych miejscowościach tworzone sowieckie organy władzy, gorsowiety – w Białymstoku i w innych miasteczkach. Jest pytanie, czy to była jakaś celowa taktyka władz centralnych, sowieckich, czy też władz białoruskich – może chcących postawić Moskwę wobec faktów dokonanych, że powstają te sowieckie organy władzy.

A.D. – Myślę, że to wynikało z takiego przekonania, że co raz Rosja, a w tym przypadku Rosja radziecka – weźmie, tego nigdy nie odda. Skoro istniała więc Białoruś Zachodnia sięgająca za Łomżę, to po zwycięskim dla ZSRS zakończeniu wojny taki stan rzeczy mógł powrócić. O tym byli chyba przekonani i czerwonoarmiści wkraczający na Białostocczyznę. A w rejonie Królewca do Armii Czerwonej wcielano licznie

robotników przymusowych, ściągniętych tu przez Niemców z okręgu białostockiego. Mówiono im, że skoro w 1939 r. stali się obywatelami radzieckimi, to są nimi nadal – i wysyłano na front japoński.

E.M. – Ale było też i tak – do 2. Armii WP miało wejść około 200 tys. ludzi. Był problem z mobilizacją, więc około 30–40 tys. Białorusinów, którzy pochodzili z Zachodniej Białorusi, wcielono do niej, choć mieli być w Armii Czerwonej.

A.D. – Czytałem artykuł białoruskiego historyka, który pisze, że w II Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa Białorusini stanowili około 40 proc. Białorusini, czyli ci wszyscy, którzy pochodzili z ziem II Rzeczypospolitej obecnie należących do państwa białoruskiego.

B.P. – **Jak na tę skomplikowaną sytuację polityczno-narodowościową reagowała Cerkiew prawosławna?**

E.M. – Cerkiew nie dostrzegała sprzeczności ideologicznych. Dla duchownych prawosławnych władza liczyła się na pierwszym miejscu. U schyłku okresu międzywojennego metropolitą dla przeciętnego duchownego był starosta, według prawa państwowego bowiem od niego zależało, czy ksiądz mógł pełnić swoje obowiązki, czy też nie. A minister był wręcz patriarchą. Gdy przyszli Sowieci, część miejscowych duchownych porzuciła swój stan i wykonywała różne zawody, na przykład instruktorów kulturalnych. Znacznie liczniejsza grupa pozostała nadal duchownymi. I przeżyli innego rodzaju doświadczenia – podczas liturgii przychodzili komsomolcy czy żołnierze urządzali burdy w świątyniach. Wszystkie ograniczenia, które dotknęły kler katolicki, dotyczyły także kleru prawosławnego.

Kiedy w 1941 r. przyszli Niemcy, za sprawą kilku duchownych, zwłaszcza z Nowogródziny, Wileńszczyzny, udało się utworzyć na terenie Okręgu Generalnego Białoruś Białoruską Cerkiew Autokefaliczną, która oderwała się od patriarchatu moskiewskiego. Jednocześnie w Generalnym Gubernatorstwie, za zgodą Niemców, działała Cerkiew będąca spadkobierczynią Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego z przedwojennym metropolitą Dionizym na czele. W jej życiu ton nadawali biskupi związani z ukraińskim ruchem narodowym. W przypadku Białegostoku nie miało to istotnego znaczenia. Białostocka znajdowała się w obrębie Białoruskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej (BACP). Po wojnie znikła BACP, Białostocka znalazła się w państwie polskim. Biskupi Cerkwi z Generalnego Gubernatorstwa wraz z metropolitą Dionizym, z wyjątkiem sufragana lubelskiego Tymoteusza, wyjechali do Wiednia. Pozostali duchowni, którzy naprawdę chcieli tylko jednego, sprawować swoje funkcje. Zmiany systemów nie za bardzo ich interesowały. Niestety, nie pozostawiono ich w spokoju. We wrześniu 1944 r. przyjechał do Białegostoku arcybiskup miński Bazyl.



B.P. – Domyślałem się, że nie przyjechał tak sobie, z wizytacją pasterską, tylko został przywieziony przez jakąś sowiecką delegację rządową.

E.M. – To była taka podróż od Białegostoku do Bielska, Hajnówki, przez najważniejsze parafie. W konsekwencji spowodowała, że kler miejscowy uznał władzę zwierzchnią biskupa mińskiego. W tym czasie z Austrii powrócił przedwojenny metropolita Dionizy (podczas wojny uciekł przed Armią Czerwoną), ale ponieważ był metropolitą w okresie okupacji niemieckiej, więc polskie władze komunistyczne nie uznawały jego jurysdykcji. Faworytem PKWN był przedwojenny pułkownik Tymoteusz Szreter i jego właśnie wyznaczono na biskupa w Białymstoku. Kler miał do wyboru – albo opcję promińską, albo prowarszawską – albo biskup Bazyle, albo biskup Tymoteusz. Długo to dosyć trwało. Obie świeckie strony – państwo sowieckie i państwo polskie – stosowały różne zabiegi, żeby utrzymać kler po swojej stronie, wiedząc, że ma on ogromne możliwości wpływania na postawy wiernych. W 1945 r. nastąpiło apogeum tego sporu. Wciąż istniała mniejszość, która opowiadała się po stronie Bazylego, ale tutaj była już władza polska, która wzywała poszczególnych duchownych na rozmowy. Dlatego też, zwłaszcza w Białymstoku, część tych duchownych, którzy wcześniej uznawali biskupa Bazylego, przeszła na stronę biskupa Tymoteusza. Ten proces szybko się utrwalił w innych parafiach. Najprawdopodobniej władze sowieckie w 1945 r. zdecydowały, że to, co jest w Polsce, powinno w niej pozostać. Cerkiew nie była już potrzebna jako ewentualny czynnik budujący orientację prosowiecką. Pozostawiono ją rządowi polskiemu. Pozostały jeszcze różnego rodzaju kwestie sporne, bo chociaż według prawa polskiego był to Kościół autokefaliczny, ale tej autokefalii nie akceptował Patriarchat Moskiewski, więc wielu duchownych i wiernych nie wiedziało, czy ten ich Kościół jest legalny, czy nielegalny. Ostatecznie w 1948 r. rząd polski zatwierdził błogosławieństwo dla tej autokefalii.

A.D. – Jeśli chodzi o Kościół katolicki, to jego losy były nieco inne niż w Polsce centralnej. W okresie tzw. pierwszego Sowietu bezpośrednio represje nie dotknęły duchownych w tak szerokim zakresie jak po 1944 r., choć utrudniano im działalność, szerzono bezbożnictwo, wojujący ateizm. Zachowania te były jednak na tyle prymitywne, że nie miały większego wpływu na postawę wiernych, wręcz przeciwnie – szukano nadziei w żarliwych modlitwach. Znacznie boleśniejse represje przyniosła okupacja niemiecka, zwłaszcza liczba duchownych wywiezionych do obozów koncentracyjnych była porażająca, ale zarazem w tym czasie wielu księży włączyło się w działalność konspiracyjną. Po wojnie, wskutek represji zastosowanych przez władzę radziecką na Wileńszczyźnie, arcybiskup Romuald Jałbrzykowski wraz z najbliższym otoczeniem, z seminarium duchownym, przyjechał do Białegostoku. W ten sposób nieoczekiwanie nasze miasto stało się nieformalną jeszcze wówczas metropolią katolicką. Wzmocniło to lokalny Kościół, dodało mu sił. Sądzę, że tutejsi księża w znacznie większym stopniu niż w Polsce centralnej angażowali się nadal w działalność organizacji

niepodległościowych. Najlepiej to widać w diecezji łomżyńskiej prowadzonej przez biskupa Stanisława Łukomskiego, uchodzącej od dziesięcioleci za matecznik narodowej demokracji. Do dzisiaj niewyjaśniona pozostaje sprawa śmierci biskupa i nie wykluczono, że był to wypadek przygotowany przez UB. Nie jest również dziełem przypadku, że w Łomżyńskim tak silne były NSZ i NZW. W najgorszej sytuacji znalazł się odcięty przez granicę państwową fragment diecezji pińskiej. Tu bilans strat był szczególnie bolesny, a w rolę ośrodka diecezjalnego wcielić się miał Drohiczyn, miścina mała, bez zaplecza intelektualnego. W sumie kler katolicki *in gremio* w powojennym województwie białostockim – w przeciwieństwie do kleru prawosławnego – nie miał złudzeń wobec nowej władzy i rzekomych dobrodziejstw płynących z sąsiedztwa z mocarstwem komunistycznym.

B.P. – Jak zachowywały się obydwie Kościoły w czasie wojny domowej, jaka toczyła się w drugiej połowie lat czterdziestych? Czy nawiązywały do pojednania?

J.M. – Ta wojna nie trwała pomiędzy wyznawcami różnych religii, nie miała takiego charakteru. Choć po wojnie Białystok stał się siedzibą dwóch diecezji – prawosławnej i katolickiej (przed wojną kuria katolicka była w Wilnie, a prawosławna – w Grodnie), to w owym czasie nie było żadnych kontaktów pomiędzy hierarchami obydwu wyznań. Zachowanie duchowieństwa prawosławnego było tradycyjne – współpraca i uległość wobec władzy. Z kolei w diecezji łomżyńskiej żywe były tradycje z okresu przedwojennego – walki z władzą państwową. W jakimś stopniu postawa duchowieństwa odzwierciedlała postawy społeczeństwa. Skoro wierni prawosławni raczej szli na współpracę z nową władzą, to duchowieństwo prawosławne nie mogło dystansować się od swoich parafian, chociaż wydaje mi się, że krytycznie odnosiło się do działań, które miały charakter antyreligijny. W Kościele katolickim duchowieństwo również było ze swoimi wiernymi, choć groziło to represjami. Władze państwowe walczyły z niewygodnymi duchownymi – prawosławnym zarzucając współpracę z władzami niemieckimi w czasie okupacji, a katolickim – z podziemiem niepodległościowym po wojnie. Były takie procesy przeciwko duchownym, a zarzuty łatwo było spreparować.

A.D. – Nie zawsze trzeba było preparować, ta współpraca rzeczywiście istniała.

B.P. – Kolejną grupą narodowościową, której losy uległy całkowitej zmianie w konsekwencji wojny, są Żydzi.

A.D. – Losy ludności żydowskiej Białostocczyzny też były inne niż na pozostałym terytorium Polski. Zdecydował o tym znów okres „pierwszego Sowietu”. Trwał wówczas exodus Żydów z Generalnego Gubernatorstwa, ucieczka przed zagładą. Białystok zwiększył dwukrotnie liczbę ludności



żydowskiej, ale ci, którzy tu przybyli, stali się niewygodni dla władzy, niepewni. Tak trochę na wszelki wypadek załadowano ich w transporty w trakcie trzeciej wielkiej deportacji z czerwca 1940 r. Jeśli chodzi o Żydów miejscowych, to rzeczywiście – zwłaszcza biedni i młodszy – poszli na ścisłą współpracę z okupantem, czynili to manifestacyjnie, co miało znaczenie w późniejszych okresach. Natomiast bogobojni wyznawcy religii mojżeszowej, szacowni obywatele, bardziej majątni, silniej związani z polskością, stanęli w opozycji wobec władzy sowieckiej albo zachowali nieufną obojętność. Wielu młodych wykorzystało szansę wyjazdu na studia do ZSRS, do lepszej pracy, i ci uratowali życie. Latem 1941 r., w okresie przejściowym między władzą sowiecką i niemiecką, miał miejsce *casus Jedwabnego* i nie tylko zresztą Jedwabnego, ale w Białymstoku to polski dozorca odważył się otworzyć drzwi podpalonej przez Niemców Wielkiej Synagogi i uratował grupę nieszczęśników.

Jeśli chodzi o samą Zagładę, to warto pamiętać, że getto białostockie miało charakter produkcyjny, realizowano tu i zamówienia wojskowe. Było ono zbliżone charakterem do getta łódzkiego, ludność żyła w nieco lepszych warunkach niż na przykład w Warszawie, nie widać było na ulicach umierających z głodu. Likwidację w sierpniu 1943 r. przeprowadziły siły niemieckie sprowadzone z zewnątrz, bo te białostockie uchodziły za skorumpowane stałym czerpaniem różnych korzyści z istnienia getta. Żydzi białostocki szczycą się, że tylko w Warszawie i w ich getcie wybuchł opór zbrojny. Ogółem przez getto w Białymstoku przeszło ok. 60 tys. osób. Z uciekinierów z getta rekrutowały się leśne oddziały przetrwania, które szybko znajdowały porozumienie z partyzantką sowiecką, i to też miało swoje powojenne reperkusje.

B.P. – No właśnie, jak wyglądała sytuacja powojenna?

A.D. – Przed wojną nie było w Białymstoku rażących incydentów antyżydowskich, natomiast po wojnie, chyba przede wszystkim ze względu na pamięć o okresie „pierwszego Sowietu”, to miasto stało się wrogiem dla wyznawców religii mojżeszowej. Ocaleni na miejscu musieli utworzyć samoobronę, a po informacjach o mordach w terenie emigrowali do Łodzi, Warszawy, na Dolny Śląsk. Ci, którzy wracali ze wschodu, byli już często żołnierzami (oficerami) i funkcjonariuszami państwa radzieckiego, rozproszyli się po Polsce. Przyjechały i dzieci żydowskie, które w czerwcu 1941 r. znajdowały się na obozie wakacyjnym w Druskiennikach. Po nalotach niemieckich nie mogły wrócić do domów w Białymstoku, więc trafiły aż pod Ural, tam przeżyły wojnę. Specjalnie dla nich Żydzi białostocki z całego świata zrobili zbiórkę pieniężną i zakupili teren w Izraelu, zbudowali *kiriat* (osiedle) Białystok, który istnieje do dnia dzisiejszego. To jest miejsce sentymentalne, zasadzono tam nawet małe lasy sosnowy dla wspomnienia podlaskich zagajników. A Białystok, który był bardzo przyjazny pokoleniom Żydów i tak wiele im zawdzięczał, nie ma obecnie gminy wyznawców religii mojżeszowej. Żydzi pojawiają się tu

tylko w rocznicę powstania w getcie, są pomniki, wydano książki, być może będzie stała ekspozycja muzealna.

J.M. – Ludność żydowska stanowiła w wielu miastach połowę lub więcej mieszkańców. Wielu Żydów współpracowało z władzami sowieckimi, a nawet uczestniczyli w antypolskich działaniach dywersyjnych. Ale znane są też obywatelskie postawy ludności żydowskiej. Chcę tylko symbolicznie przypomnieć postać Borucha Kirszenbejma, jednego ze skazanych na karę śmierci w 1940 r. przez sąd sowiecki za udział w tłumieniu komunistycznej rebelii w Grodnie we wrześniu roku poprzedniego. Jest jeszcze jedna charakterystyczna cecha – na obszarach z przewagą ludności białoruskiej stosunki z Żydami były stosunkowo lepsze, co wynikało z tego, że te dwie mniejszości były czasami w podobnej sytuacji.

B.P. – **Czy wzajemna lojalność i sympatia Żydów i Białorusinów były tradycją tego regionu? Jak się przejawiały?**

E.M. – Źródła tego specyficznego stosunku Białorusinów do Żydów należy szukać w pierwszych latach II Rzeczypospolitej. Brałem udział w redagowaniu książki o tych, którzy wyjechali w czasie I wojny światowej do Rosji. To byli Białorusini, natomiast Żydzi i Polacy pozostali. Władze carskie przede wszystkim zmobilizowały do wyjazdu społeczność prawosławną. Większość nie chciała wracać, zmusiła ich do powrotu rewolucja rosyjska. Kiedy wyjeżdżali z Polski, to wszystko, co do nich należało, zniszczyli Kozacy – chcąc zostawić Niemcom dostawnie spaloną ziemię. Kiedy powrócili, zastawali jedynie pole, które leżało ugiorem, budynków nie było. Mogli stanąć na nogi dzięki żydowskim pożyczkom. Często Żydzi dali worek kartofli, który pozwolił przetrwać ten najgorszy pierwszy rok. Żyd pożyczyl młotek, łopatę, konia itd. Pomoc świadczona przez Żydów w tych pierwszych latach wielkich powrotów z „bieżeństwa” została zapamiętana. I w większości relacji dotyczących stosunków z Żydami ludzie opowiadali o nich z sentymentem. Taki stan rzeczy przetrwał, ponieważ potem nie było żadnych sprzecznych interesów. Żydów widziano przede wszystkim jako tych, którzy przyjeżdżali na wieś z miasteczka z jakimiś garnkami, igłami, szmatami, a w zamian brali siano, ziolo. Był to swego rodzaju handel wymienny z wzajemnym pożytkiem. Jest jeszcze jeden element, który daje się zauważyć jedynie we wspomnieniach. W okresie okupacji niemieckiej wielu Żydów prosiło o przechowanie przynajmniej dziecka, żeby umożliwić ocalenie potomstwu. Niewielu było natomiast takich, którzy decydowali się narażać własne rodziny za ocalenie Żydów. We wspomnieniach na ten temat słyszy się często jakby próbę usprawiedliwienia własnej słabości lub strachu. Ludzie, mając do wyboru ocalenie własnych dzieci lub żydowskich, częściej wybierali pierwsze rozwiązanie.

J.M. – Żydzi na tym obszarze byli mniej zasymilowani, często bliżsi kulturowo rosyjskiej niż polskiej. Można jednak wymienić wielu Żydów, którzy



pomagali Polakom w latach okupacji sowieckiej. Z kolei w okresie okupacji niemieckiej było więcej „Sprawiedliwych”, ratujących Żydów, niż to wynika z liczby przyznanych medali. Wiele osób nie przyznało się do tego. Często uratowani Żydzi, zwłaszcza dzieci, wpisywali się w miejscową społeczność, nie powracając już do swojej pierwotnej narodowości.

E.M. – Nie wszyscy byli zainteresowani tym, żeby powracać po wojnie do swego żydostwa.

B.P. – **Opiszmy Białostoczczyznę po zakończeniu okresu masowych przemieszczeń ludnościowych, kiedy stabilizuje się pewne społeczeństwo lokalne.**

E.M. – Obraz Białostoczczyzny na styku interesów polsko-białoruskich do roku 1956 ma wiele kolorów. Co odkryli urzędnicy, którzy przyjechali tu z Lublina? Bardzo ważną rzeczą, że Białorusini nie protestują, kiedy nazywa się ich Polakami. W 1947 r. można więc było stwierdzić, że na Białostoczczyźnie nie ma żadnych Białorusinów. Konsekwencje tego były takie, że zlikwidowano wszystko, co przypominało istnienie społeczności białoruskiej, przede wszystkim szkoły. Białorusini byli w nowych instytucjach państwa – aparacie partyjnym, milicji, Urzędzie Bezpieczeństwa, niższych szczeblach administracji, ale byli w nich jako Polacy. Po raz pierwszy otrzymali wszystko, ale nie jako Białorusini, lecz jako obywatele. Byli za to bardzo wdzięczni władzy komunistycznej.

A.D. – Chociaż dla wielu Polaków pozostali nadal Białorusinami.

E.M. – Dla Polaków byli Białorusinami, kacapami, Ruskimi itd. Dla władzy byli Polakami.

A.D. – Byli nie tylko na niższych szczeblach władzy, reprezentowali województwo na zewnątrz.

E.M. – Jest kolejny przełom, czyli rok 1948. Zmieniła się wtedy koncepcja Stalina w stosunku do całej Europy Wschodniej, przede wszystkim do kwestii narodowościowej. Gdy powstało państwo Izrael, liczone, że ono będzie prosowieckie. Okazało się inne, Żydzi stali się narodowością znacznie brzydszą, niż się zapowiadało. W stosunku do innych narodowości mieszkających w Polsce również diametralnie zmieniono politykę. Niemcy na przykład otrzymali prawo do niektórych świadczeń socjalnych. Inaczej zaczęto traktować Ukraińców. A w stosunku do Białorusinów na posiedzeniu sekretariatu Komitetu Centralnego w czerwcu 1948 r. podjęto decyzję o odbudowie szkolnictwa. To, co się działo w lipcu 1948 r., przypominało operację wojskową. Białorusini nie domagali się żadnych szkół. Kto był w urzędzie, to był, cieszył się zaufaniem towarzyszy, nie chciał żadnego wyróżnienia. Władze centralne, władze wojewódzkie,

wszystkie instytucje władzy państwowej zajmowały się tworzeniem szkolnictwa białoruskiego. We wrześniu 1948 r. było już 39 szkół białoruskich, choć brakowało nauczycieli, podręczników itd. To były autentyczne szkoły z językiem białoruskim, w których w tym języku uczono wszystkich przedmiotów. Tak odrodziło się instytucjonalne życie białoruskie. Ten stan trwał do 1956 r. Wtedy nastąpił kolejny przełom, społeczeństwo polskie zrozumiało, że może wyrazić swoją wolę, swoje sympatie. W Białymstoku artykułowano je pod hasłem – kacapy won do Stalina, won do Rosji. Taka była spontaniczna reakcja społeczeństwa. A z drugiej strony – jak bliżej przyrzeć się dokumentom – to wtedy właśnie rozpoczyna się w Warszawie kolejny okres walki o władzę w partii, między grupą natolińską a puławską. Wyrosły też w społeczeństwie polskim grupy młodych aktywistów, czy z ZMP, czy z aparatu partyjnego, i miały ambicję włączyć się do walki o władzę. Na Białostocczyźnie część tych partyjnych stanowisk była zajęta przez mniejszość. W atmosferze tamtejszego napięcia pojawiły się pogłoski, że Białorusini chcą włączyć Białostocczyznę do Związku Sowieckiego. To hasło zostało prawdopodobnie spreparowane dla skuteczniejszej walki o władzę w miejscowym aparacie partyjnym. Było na tyle nośne, że w 1968 r. Gomułka raczył się wypowiedzieć na ten temat i powiedział, że kto czuje, iż należy do jakiejś obcej narodowości, nie ma dla niego miejsca w Polsce.

B.P. – Czy ktoś wtedy wyjechał?

E.M. – Nie, natomiast z Białorusi do Polski przyjechało wtedy wielu Białorusinów, którzy zadeklarowali się jako Polacy, dostali obywatelstwo. Byli wśród nich Białorusini, którzy zostali wysłani na Syberię, ale oni nie pozostali na Białostocczyźnie, zatrzymali się raczej w centralnej Polsce, tam się osiedlali. W 1956 r., ze względu na ten stan napięcia, Białorusini ujrzeli znów widmo pierwszych powojennych lat. Instytucją, która najdobitniej potwierdza istnienie odrębności narodowej, jest szkoła. Mieszkańcy niemal każdej miejscowości, gdzie były szkoły białoruskie, zasypywali kuratorium podaniami, żeby te szkoły zlikwidować, żeby zdjęć ten szyl, że tu są Białorusini. To były inicjatywy samych Białorusinów. Stan napięcia był dość krótki. W dokumentach z kampanii przed wyborami do Sejmu 1957 r. spotkałem takie dyskusje – czy mogą być Białorusini, czy ten, którego znamy jako Białorusina, może być reprezentantem władzy ludowej. Znów otworzyły się te trochę zabliznione rany. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że na szczeblu centralnym już zapadły decyzje, że mniejszości nie można ukrywać, że mniejszości należy uczynić elementem życia publicznego. Zobowiązywano różne organizacje – społeczne, sportowe i kulturalne, żeby w jakiś sposób w swojej działalności uwzględniły istnienie mniejszości. To odnosiło się nie tylko do Białorusinów. A tutaj i Białorusini, którzy byli w komitecie wojewódzkim i komitetach powiatowych, i Polacy – wszelkie inicjatywy, które płynęły z centrali, żeby upublicznić istnienie mniejszości – ignorowali.



Dla Białorusinów było to niewygodne, bo trzeba byłoby zdradzać swoją obecność. Lepiej było tych tematów nie poruszać.

A.D. – Jeśli mówimy o władzy, to chciałbym pokazać różne odczucia strony polskiej. Na pewno władza zwana ludową, niezależnie już od jej pochodzenia, była prymitywna, rekrutowała się głównie z osób nieprzygotowanych do pełnienia takich funkcji. To byli na ogół ludzie ze środowisk wiejskich, bez odpowiedniego wykształcenia i doświadczenia. A o ich karierach nie decydowały wcale wrodzone talenty i krystaliczne charaktery, ale ufność przywódcom, „postępowa” przeszłość, korzystne układy. Władza braki merytoryczne nadrabiała wiernością ideową, często arogancją i demonstracją siły. Na Białostocczyźnie kult hasel był silniejszy niż w Polsce centralnej. Taka postawa z biegiem czasu stawała się coraz bardziej udziałem osób ze środowisk polskich, też głównie z awansu społecznego. Co się zaś tyczy mniejszości białoruskiej, to panowało przekonanie, że ci, którzy okrzepli „na urzędach”, przyciągali kolejnych swoich. Było takie powiedzenie, że władza i na Białostocczyźnie pochodzi wprawdzie od Boga, ale Bóg upodobał sobie szczególnie mieszkających w Trościance.

B.P. – To piękne, taka promocja prowincji.

A.D. – Po wymianie elity partyjnej zmieniały się uprzywilejowane miejscowości, ale nie zasada. Trzeba też pamiętać, że był to region o bardzo słabej urbanizacji. Na przykład w Białymstoku, który liczył przed wojną 100 tys. mieszkańców, po wojnie zostało ich 30 tys. Potrzebny był więc zaciąg młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej, ten proces miał i swoje oczywiste zalety, pisano o sprawiedliwości dziejowej. Autentycznie zdolni, pracowici, ambitni mogli teraz o wiele łatwiej awansować, zasilać środowiska inteligencji. Prawdą jest jednak i to, że często był to bardzo pozorny awans, po prostu ucieczka z domów w poszukiwaniu lekkiej pracy i rozrywek. Taki cwaniacki „postęp” lansowały młodzieżowe organizacje socjalistyczne, byle jakie szkoły (na przykład zawodowe), wojsko. Ci najlepsi opuszczali Białostocczyznę, ci przeciętni nie pomniejszali w sposób znaczący rozmiarów zapóźnienia gospodarczego. Złośliwcy mówili, że tu nawet kalendarz jest opóźniony o dwa tygodnie w stosunku do warszawskiego. Przełomu nie przyniósł Październik 1956 r., choć ubyło strachu przed terrorem. Taka jest specyfika ściany wschodniej, która do dzisiaj stanowi wielki problem ekonomiczny i społeczny...

J.M. – Z jednej strony ludzie, którzy byli najbardziej zaangażowani w latach wojny i tuż po wojnie, jako pierwsi podlegali represjom, bo na ogół byli w podziemiu. Ginęli, trafiali do więzień albo uciekali gdzieś na Ziemię Zachodnie, żeby tam wtopić się w tłum i zacząć nowe życie, więc ten obszar wyludniał się z osób najbardziej aktywnych. Z drugiej strony Białystok – w przeciwieństwie do innych miast – nie dostał tego



Podczas centralnych dożynek w Białymstoku w 1973 r. Od lewej: Piotr Jaroszewicz, Edward Gierek i Zdzisław Kurowski, I sekretarz KW PZPR w Białymstoku



zastrzyku ze wschodu, z repatriacji. Do Wrocławia, Torunia przenosiły się całe ośrodki akademickie z Kresów. W Białymstoku zostało tylko seminarium duchowne z Wilna. Nie było zastrzyku inteligencji, był natomiast ciągły ubytek. Nie było środowiska akademickiego. Co prawda powstała w 1950 r. Akademia Medyczna...

A.D. – ...w 1949 r. powstała Wieczorowa Szkoła Inżynierjina...

J.M. – ...ale brak było szkoły wyższej o profilu humanistycznym. Jeszcze o jednej rzeczy nie wspomnieliśmy, że zachód województwa to region, w którym mieszkała szlachta zaściankowa, bardzo patriotyczna i bardzo tradycyjna, która z niechęcią podchodziła do zmian. A dzieci z tych rodzin nie były przyjmowane na studia ze względu na „złe pochodzenie”. To kolejna przyczyna opóźnienia w przemianach.

A.D. – Dlatego w Polsce panowało przekonanie, że Białystok to wieś wojewódzka, a żubry tu chodzą po ulicach. Pamiętam te kpiny z przekomarażń studenckich, opowiadki o totalnym zacofaniu. Niestety, nieszczerólna opinia o naszym regionie utrzymuje się jeszcze do dzisiaj tu i ówdzie.

J.M. – Ale to była cena płacona za to, co działo się w czasie wojny i tuż po wojnie. Zanotowano szczególnie duże straty wśród miejscowej inteligencji, która była niszczone fizycznie, a w latach 1939–1941 wywożona przez Sowieców w głąb ZSRS, skąd – jeśli przeżyła – rzadko wracała do Polski. Zostawała w Europie Zachodniej. Przykładem może być białostoczanin, ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski. Takich ludzi były tysiące. Nawet plan sześcioletni nie dał Białostoczczyźnie zbyt wielu znaczących inwestycji. Wprawdzie Białystok uzyskał wtedy Fasty – rozbudowany został tradycyjny dla miasta przemysł włókienniczy, ale nie było tu starej klasy robotniczej, dominowali nowi, bez tradycji. Pojawiły się robotnice ze wsi, bardzo zdyscyplinowane, które potulnie wykonywały polecenia przełożonych.

A.D. – W zbyt małym stopniu poprawiła się infrastruktura, nie przybyło linii kolejowych. Fakt, że budowano drogi, i to z zaangażowaniem ludności, elektryfikowano wsie, stawiano pierwsze bloki mieszkalne. Zaległości były jednak okrutne, brakowało dobrych planów, szwankowała jakość wykonawstwa. Po planie sześcioletnim Białostoczczyzna została niestety nadal na uboczu, skorzystały tylko wybrane miejscowości, czego przykładem Zambrów i Hajnówka.

B.P. – **Nie możemy poprzestać na konstatacji, że tu albo nic się nie działo, albo działo się z wielkim opóźnieniem.**

A.D. – Na pewno duże znaczenie miały zmiany w 1972 r. Nowe kierownictwo PZPR, nie wiadomo z czyich dokładnie podszeptów, posta-

nowiło silnie przewietrzyć Białostoczczyznę. Nowy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, Zdzisław Kurowski, był młody, dynamiczny, ze „szkołą” warszawską, spoza układu miejscowego. Ściągnął ze sobą grono przyjaciół, szukających dobrej przygody, z ambicjami. Wtedy zaczęło się tak zwane przyspieszenie białostockie.

B.P. – Co to znaczyło?

A.D. – Zainicjowano programy gospodarcze ze wskazaniem na rolnictwo – głównie hodowlę bydła, co do dzisiaj zresztą procentuje – w połączeniu z rozwojem przemysłu rolno-spożywczego. Były też wizje przyspieszenia kulturowo-oświatowego, realne i tylko papierowe, rzeczywiście ważne, takie jak stworzenie wielkiego ośrodka akademickiego z uniwersytetem i z myślą o propagandowych sukcesach, na przykład uczyńnię z Białostoczczyzny potęgi w pływaniu. Szukano różnych dróg awansu regionu, stawiano na młodzież, w tym prężnych gospodarzy, młodych rolników. Był to czas ważny dla ośrodków powiatowych, wiele z miast zaczęło wychodziło z cienia. Białostoczczyzna zmieniała szybko swoje oblicze, zyskała sojuszników „w Polsce”, przyciągała, choć pozostało wiele błędów charakterystycznych dla rządów „wczesnego Gierka”.

E.M. – Ludność białoruska, wiejska i miejska, tamten czas wspomina najlepiej ze względu na dobrobyt.

B.P. – Tu akurat niwelują się zupełnie różnice narodowościowe. Również bardzo wielu rdzennych Polaków odczuwa pewną nostalgię za gierkowszczyzną.

E.M. – Bliższa analiza tych poczynań prowadzi do następujących wniosków. Inwestycje owszem były, ale żadna z nich we wschodniej części województwa, wszystkie na zachód od Białegostoku. W przeliczeniu na tysiąc mieszkańców mniej więcej trzykrotnie wyższe były nakłady na inwestycje w zachodniej części województwa w porównaniu ze wschodnią. To znaczy, że nie było tam dróg, ośrodków zdrowia, telefonów itd. Efektem było wyludnianie się wsi. W latach siedemdziesiątych wieś na wschodniej Białostoczczyźnie zamierała, pozostali tylko emeryci. Inwestycje i praca czekały w Białymstoku i na zachód od tego miasta – budowano bloki, można było po kilku latach doczekać się własnego luksusowego mieszkania w postaci M3 czy M4. Faktycznie więc nastąpiło przesiedlenie się białoruskiej ludności wiejskiej do Białegostoku i innych miejscowości, do centralnej Polski. A w kwestii polityki narodowościowej realizowano tę koncepcję, którą wyartykułowano w postanowieniu sekretariatu KC PZPR, że społeczeństwo polskie jest społeczeństwem Polaków. Na początku lat siedemdziesiątych ponownie przystąpiono do likwidacji wszystkich instytucji białoruskich. Po kolei uległo likwidacji szkolnictwo, ograniczono się do symbolicznych rozmiarów – muzeum, zespoły taneczne, zespoły teatralne, które powstały w latach



sześćdziesiątych. Epoka lat siedemdziesiątych ma zatem różne oblicza. Ludzi z partii, funkcjonariuszy partyjnych pochodzenia białoruskiego, nie wyganiano. Oni tylko zmieniali swoje imiona i nazwiska, bo niestety dobro awangardy klasy robotniczej potrzebowało, żeby nie było Wasylów, Mikołajów, więc zmieniali imiona na Kazików, Stanisławów itd. W pewnym sensie nie wydarzyło się nic nowego – oni ciągle się maskowali, a zmiana personaliów była dopełnieniem procesu, który od dawna istniał.

A.D. – W 1972 r. opowiadano w Białymstoku taką oto anegdotę: gdy przedstawiano nowo przybytemu sekretarzowi Kurowskiemu skład egzekutywy KW i po kolei padały nazwiska z końcówką na -uk, to się sekretarz trochę zdenerwował i pyta, czy jest tu ktoś na -ski. Tak – padła odpowiedź – jest towarzysz Skibuk.

E.M. – To był problem. Do jednego z lektorów partyjnych, który przekonywał, że jest Polakiem, że ma rodziców Polaków, pojechała ekipa SB i zrobiła zdjęcie na cmentarzu prawosławnym, gdzie byli pochowani. Na nagrobkach widniały napisy cyrylicą.

B.P. – **Nie można chyba wyłączyć przedstawicieli żadnej narodowości z naturalnych procesów asymilacyjnych.**

J.M. – Można powiedzieć, że były to po części faktycznie naturalne procesy asymilacyjne, które miały początek jeszcze przed 1939 r. Tak samo Polacy za wschodnią granicą podlegali procesowi rusyfikacji czy białorusyfikacji. To był efekt nie tylko określonej polityki państwa. A w ostatnim spisie powszechnym narodowość białoruską zadeklarowało zaledwie 40 tys. osób, co wcale nie znaczy, że reszta zapomniała o swoich niepolskich korzeniach.

E.M. – Na Białostoczczyźnie, a w Polsce 50 tys.

J.M. – Chciałem jeszcze dodać, że tutaj wszyscy coś ukrywali: Białorusini, że są Białorusinami, ludzie z Kresów, że są kresowiakami, Sybiracy musieli ukrywać, że byli deportowani, bo nie można było o tym mówić. Ludzie, którzy byli w podziemiu w czasie wojny, też to ukrywali, tym bardziej ci, którzy w podziemiu byli po wojnie. Synowie i córki ukrywali patriotyczną przeszłość swoich rodziców, żeby dostać się do szkoły, żeby awansować. Bardzo wielu ludzi o czymś istotnym ze swojej przeszłości nie mogło mówić, trzeba było o czymś oficjalnie zapomnieć. To bardzo trudne psychiczne przeżycie dla tych wszystkich osób, które musiały mieć podwójny życiorys. Oficjalny i prawdziwy.

E.M. – Ale specyfiką obecnej Białostoczczyzny jest to, że funkcjonuje ona między cywilizacją łacińską i bizantyjską. Ten podział istnieje wszędzie – na ulicy, w rodzinach, psychice poszczególnych osób.

B.P. – Co pan rozumie przez sformułowanie cywilizacja?

E.M. – To wszystko, co jest spadkiem duchowym po wpływach Kościoła prawosławnego. Cerkiew jako ta, która wyszła z kręgu kultury grecko-bizantyjskiej poprzez Rosję, w jakiś sposób wywarła tu swoje piętno. W tej chwili nie ma widocznych przejawów narodowego życia białoruskiego, ale jednak ci, którzy wyszli z rodzin białoruskich, są inni, zupełnie inni. Oni sami siebie nazywają Polakami. Większość dawnych Białorusinów mieszkających w Białymstoku nazywa siebie Polakami, dodając – prawosławny. Przez stronę polską postrzegani są – no, niezupełnie jako Polacy. Dla poprawności politycznej przytakuje się im, że są Polakami, natomiast w dyskusjach w zamkniętych kręgach polskich widzi się w nich ludzi, którzy przedstawiają tę właśnie wschodnią odmienność. I to inne myślenie wśród prawosławnych daje się zauważać także w postawach politycznych, choćby podczas wyborów w Polsce, także w stosunku do zjawisk, które dzieją się gdzieś w świecie. Na przykład w czasie wojny w Jugosławii wszyscy Polacy prawosławni sympatyzowali jednoznacznie z Serbią, nie było takich sympatii proserbskich po stronie polskiej, Polacy sympatyzowali bardziej z Chorwatami. Podobnie w sprawie konfliktu w Czeczenii – Polacy ogólnie życzą Czeczenom jak najszybciej uzyskania niepodległości, prawosławni raczej nie tyle sympatyzują, ile współczują Rosjanom z powodu kaukaskiego terroryzmu w ich otoczeniu.

B.P. – Wydaje mi się, że jednak w mentalności białoruskiej jest wiele z myślenia wielkoruskiego. Ale proszę jeszcze opowiedzieć o „Solidarności” i o roku 1989.

E.M. – Początkowo Białorusini poparli „Solidarność” – większość z nich, idąc wraz z nową falą, zapisywała się do „Solidarności”. Problemy zaczęły się trochę później, bo „Solidarność” stała się organizacją mocno związaną z Kościołem katolickim, dla Białorusinów nie za bardzo w takiej „Solidarności” było miejsce. Ponadto – ja nie do końca potrafię sobie to wyjaśnić, ale w miejscowościach, gdzie mieszkali obok siebie prawosławni i katolicy lub inaczej Białorusini i Polacy – nagle wszystko zaczęło się psuć. Polacy spotykali się z Polakami, Białorusini z Białorusinami, tworzyły się szybko zamknięte kręgi wśród tej samej społeczności. I pojawiły się drobne incydenty, które powinny mieć niewielki wpływ na ogólną atmosferę. W kolejkach, które były wówczas zjawiskiem powszechnym, gdy ktoś wyraził życzenie, aby „ruscy” pojechali sobie do Moskwy, tam stawali w kolejkach, zachowanie takie szybko odbijało się echem po okolicy, wszyscy o tym mówili, że ktoś tam znów nas wyganiał do Moskwy. W końcu z nieznanых źródeł pojawiły się wieści, że Polacy przygotowują się do jakiejś krwawej rozprawy z Białorusinami. Niektórzy tak głęboko się tym przejęli, że ryglowali drzwi i mieli przygotowany do obrony jakiś oręż. Zdziwiająco, jak ludzie szybko uwierzyli w taki scenariusz. „Solidarność” z całą pewnością nie przygotowywała się do rozpraw z Białorusinami, tylko że ktoś takie wieści rozpuszczał i najgorsze, że większość w to uwierzyła. Ludzie naprawdę zaczęli się



bać. Kiedy wprowadzono stan wojenny, ktoś zauważył, że Białorusini odechnęli z ulgą. To prawda, gdyż uznano, że zagrożenie zostało oddalone.

B.P. – W innych regionach źródłem takich pogłosek była SB czy WSW. W całej Polsce straszono w ten sposób m.in. rodziny wojskowych i milicjantów. Nie sądzę, żeby tutaj było jakoś inaczej.

A.D. – Wracając do „Solidarności”, chciałbym wskazać na kilka cech charakterystycznych dla ówczesnej Białostoczczyzny. Po pierwsze – była tu znacznie słabsza tradycja ruchów opozycyjnych w PRL, od lat sześćdziesiątych poczynając. Fala „solidarnościowa” zaskoczyła większość mieszkańców, ale także środowiska inteligentkie, liderów życia publicznego. Po drugie – nędzka ekonomiczna, która tak dokuczała wszystkim w Polsce, tutaj była trochę mniej uciążliwa, prawie każdy mieszkaniec miasta miał kogoś na wsi, zaopatrzenie w żywność było znośniejsze. Po trzecie – straszak sowiecki był silniejszy, krążyły opowieści o grzejących się silnikach czołgów sowieckich nad granicą, a wracający z Grodna poświadczali, że następuje tam koncentracja wojska. I po czwarte – po raz pierwszy pokazywali swą moc miejscowi robotnicy, to był swoisty debiut, sprawdzian „świadomości proletariackiej”. Podobnie rzecz się miała ze społecznością akademicką Białegostoku.

J.M. – Władze bardzo umiejętnie wykorzystywały też kompleksy i wspomnienia z przeszłości w walce z „Solidarnością”. Wyraźnie grały na nucie waśni i doświadczeń narodowościowych z lat powojennych. Straszono „Solidarnością” jako symbolem Polski narodowej i katolickiej, Polski, której symbolem będzie Romuald Rajs „Bury”, który w 1946 r. pacyfikował białoruskie wioski. Taka wizja nie była atrakcyjna dla Białorusinów.

B.P. – Czy Białorusini zapisali się jakoś w historii białostockiej „Solidarności”?

E.M. – Tak, głównie studenci, a jeden z obecnych działaczy – Oleg Łatyszonek – siedział w więzieniu w stanie wojennym za działalność wydawniczą i publicystyczną w podziemnej „Solidarności”. W 1980 i 1981 r. wydano w nielegalnym obiegu pięć tomów „Dokumentów białoruskich”, liczne broszury oraz pismo analiz politycznych „Kontakt”, które było wydawane w Białymstoku. Te dokumenty i publicystyka służyły do dyskusji, do dialogu z polską opozycją. Ona nie toczyła się jednak w Białymstoku. To była dyskusja z polskimi środowiskami opozycyjnymi w Warszawie, Krakowie, Lublinie.

B.P. – Na Uniwersytecie Warszawskim działało nawet w podziemiu Białoruskie Zrzeszenie Studentów. Z jego kręgu wywodzi się jeden z obecnych białoruskich liderów – Eugeniusz Wappa, notabene historyk...

J.M. – Środowisko historyków białoruskich odegrało ważną rolę, tworząc różne organizacje białoruskie, inspirując działania kulturalne.

E.M. – To były działania wewnątrz środowiska białoruskiego.

B.P. – **Ze strony białoruskiej chciała dyskutować inteligencja białoruska, a „Solidarność” białostocka była robotnicza, może dlatego.**

E.M. – Klub Inteligencji Katolickiej to nie tylko robotnicy. Gdy pojawił się problem wspólnego udziału w wyborach w 1989 r., białostocka „Solidarność” odrzuciła ten pomysł, mimo że były nawet w tej sprawie naciski z Warszawy, żeby zawrzeć porozumienia z Białorusinami. Gdyby wtedy zdecydowano inaczej, myślę, że dzisiejsza Białostoczczyzna też byłaby inna. Białorusini musieli pójść sami do wyborów.

A.D. – Obiektywnie rzecz ujmując, niekorzystny wpływ wywierały narastające, emocjonalne dyskusje historyczne. Po raz pierwszy zaczęto mówić głośno o 17 września 1939 r., o okupacji sowieckiej, w tym i o ówczesnych zachowaniach Białorusinów. Były to kwestie drażniące, nie znaleźliśmy jeszcze pełnej prawdy, fakty mieszały się z hasłami, padały zarzuty i pomówienia, szeptano o prowokacjach.

E.M. – Faktem jest, że w ogóle wcześniej nie dyskutowano. Od wojny do stanu wojennego żadnych dyskusji na temat historii w ogóle nie było. Wszyscy w zasadzie uczyli się historii na nowo, nawet ci, którzy kończyli studia historyczne.

J.M. – Stronie polskiej trudno było się przyznać do różnych błędów popełnianych w stosunku do środowisk białoruskich, zwłaszcza w okresie powojennym. Kombatanci bardzo nerwowo reagowali, gdy próbowano się oceniać krytycznie różne działania. To wynikało z tego, że oni sami przez dziesiątki lat byli krytykowani, a teraz zanim doczekali się oficjalnej akceptacji, mieli uderzyć się we własne piersi. Najpierw dostawali od władzy, a teraz od opinii publicznej, na przykład za rozstrzelanie furmanów. W takich relacjach potrzebna jest prawda, ale i czas na dojście do niej. Taki czas potrzebny był i dla Białorusinów.

E.M. – Polacy słusznie zapamiętali 17 września, kiedy Białorusini z akceptacją witali Armię Czerwoną. Także okres powojenny, także smutny okres międzywojenny.

B.P. – **Województwo białostockie to także Suwalszczyzna i Sejneńskie, a więc Litwini. Jak wyglądały relacje między nimi a Polakami?**

A.D. – Mniejszość litewska nie ważyła na losach Białostoczczyzny. Ich obecność w przedwojennym województwie szacowano na około 20 tys., a po wojnie na nie więcej niż połowę tego stanu, i to skupionych na niedużym terenie. Byli katolikami, więc nie zaistniał konflikt wyznaniowy, a jeśli już, to w jednej rodzinie w sprawie języka liturgii. Inaczej też



niz w Republice Białoruskiej rozwijała się sytuacja na Litwie, gdzie mniejszość polska, co było efektem manipulacji władzy radzieckiej, miała się względnie dobrze, zwłaszcza jeśli chodziło o szkoły. Do Białegostoku problemy litewskie tak naprawdę nie docierały, były natomiast bardzo istotne w wymiarze lokalnym, zwłaszcza w Sejnach i okolicy.

E.M. – Główny problem w stosunku do Litwinów polegał na tym, czy zostawić ich w Polsce, czy nie. Litwini zostali jednak potraktowani jako narodowość wroga, zastanawiano się, czy ich wszystkich nie przesiedlić, ostatecznie zrezygnowano z tego. Kolejny problem to był problem języka w Kościele, do lat siedemdziesiątych. W roli mediatorów występował nawet Komitet Wojewódzki PZPR.

A.D. – Litwini stanowili społeczność bardziej zamkniętą i zwartą. Nie rościli sobie jednak pretensji do udziału we władaniu województwem.

J.M. – Byli zamknięci, trzymali się między swoimi, ich świadomość narodowa była na zdecydowanie wyższym poziomie niż Białorusinów. W tym sensie było im łatwiej.

A.D. – Polacy pamiętali dobrze o wspólnej z Litwą historii, byli i są z tego dumni, wymienia się z zamkniętymi oczyma wielkie symbole tej wspólnoty, choćby króla Władysława Jagiełłę i Adama Mickiewicza. Inna sprawa, że punkt widzenia Litwinów różni się znacznie w tej mierze od naszego.

E.M. – Z perspektywy Białegostoku tak to wyglądało, natomiast w społecznościach lokalnych było znacznie gorzej niż z relacjami polsko-białoruskimi. Litwini nie mieli opieki ze strony aparatu państwowego, jaką mieli Białorusini. Stosunkowo niewielu Litwinów po wojnie należało do partii. Jeżeli utworzono nawet Litewskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, długo nie można było znaleźć zaufanego człowieka. Litwini nauczyli się pewnej strategii – na 1 maja, 7 listopada organizowali różnego rodzaju imprezy oczekiwane przez władze – tylko że Białorusini śpiewali na tych akademiach pieśni nie tylko białoruskie, ale częściej rosyjskie i polskie, Litwini zaś na taką okoliczność mieli repertuar czysto patriotyczny, z okresu okupacji czy sprzed wojny. Bardzo to dobrze wykorzystywali. Oficjalnie byli prorządowi.

A.D. – Litwini budzili większy respekt, byli to bardzo dobrzy gospodarze, na ogół zamożni, dobrze zorganizowani, a kuchnia litewska zawsze znajdowała uznanie Polaków, że nie wspomnę o wódecznościach. W terenie zatem konflikty były silne, ale w Białymstoku i innych oddalonych od Sejn powiatach traktowano kwestię litewską głównie jako sympatyczne ubogacenie etnograficzne.

J.M. – We wspólnej historii nie było problemu lat 1939–1941, po 1944 r. raczej była współpraca między podziemiem polskim i litew-

skim, przez teren zamieszkały przez polskich Litwinów przebiegał kanał przerzutowy na zachód. Nadal trwają spory o rok 1920, o stosunki pod okupacją niemiecką, ale nie są już takie głośne.

A.D. – Jeśli chodzi o współczesność, to niestety dość niefortunnie skrojono nasz region. Województwo podlaskie określa się hasłowo jako Podlasie, co wywołuje protest zarówno mieszkańców Łomżyńskiego, świadomych swej szlacheckiej przeszłości i związków z Warszawą, jak również mieszkańców Suwalszczyzny, którzy przez wieki pozostawali w Wielkim Księstwie Litewskim. Zabrakło w tej konfiguracji Grodzieńszczyzny (przed wojną do województwa białostockiego należały powiaty Grodno i Wołkowysk) i nie wróciły powiaty mazurskie EGO (Ełk, Gołdap, Olecko – były w województwie białostockim do 1975 r.). Jest to ciągle zatem region niejednorodny, bez utrwalonej wspólnej tożsamości regionalnej. To utrudnia także uprawianie i popularyzowanie historii. Dla wielu mieszkańców inną pozostaje „prawda” białoruska i inną prawda polska, a po części inną: białostocka, łomżyńska, suwalska.



Dr hab. Adam Dobroński – ur. w 1943 r., profesor Uniwersytetu w Białymstoku, przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Historii, w latach 1994–1997 minister – kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Autor wielu publikacji dotyczących historii Polski XIX i XX wieku, w tym monografii Łomży i Białegostoku (kilka wydań). Ponad 20 lat redaguje „Kramik Regionalny” – cotygodniową kolumnę poświęconą historii regionalnej – najpierw w „Kurierze Podlaskim”, obecnie w „Kurierze Porannym”.



Dr Jan Jerzy Milewski – ur. w 1950 r., naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku, poprzednio pracownik Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku i Uniwersytetu w Białymstoku, wieloletni prodziekan Wydziału Humanistycznego, w latach 1997–2003 prezes oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Autor m.in. książek: *Polska Partia Socjalistyczna w woj. białostockim 1919–1939*, Białystok 1990; *Z dziejów woj. białostockiego w okresie międzywojennym*, Białystok 1999.



Dr hab. Eugeniusz Mironowicz – profesor Uniwersytetu w Białymstoku, kierownik Katedry Kultury Białoruskiej, autor 10 książek dotyczących historii Białorusi oraz polityki narodowościowej PRL. W 1990 roku obronił na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW pracę doktorską *Białoruska mniejszość narodowa w Polsce Ludowej 1944–1949*. W 2000 roku uzyskał habilitację na Wydziale Nauk Historycznych UW na podstawie rozprawy *Polityka narodowościowa PRL*. Jest redaktorem „Białoruskich Zeszytów Historycznych” – wydawnictwa Białoruskiego Towarzystwa Historycznego.

BIAŁOSTOCKIE – MIĘDZY RÓŻNYMI SPOSOBAMI WIDZENIA HISTORII

Historia ziemi białostockiej w okresie wojny i lat powojennych to prawdziwa epopeja społeczeństwa, które przeszło przez dwie, a właściwie trzy okupacje: „za pierwszych Sowieców”, „za Niemców” i „za drugich Sowieców” – czyli inaczej mówiąc, „za demokracją” (przy czym termin „demokracja” ma tu zdecydowanie pejoratywny wydźwięk; nigdy nie spotkał się z tym, by ktoś ze starszego pokolenia określał ten okres jako „okres po wyzwoleniu”).

Historia ta obfituje w rozliczne wątki – pełne bohaterstwa, poświęcenia, wierności ideom walki o wolność i niepodległość ojczyzny. Zdawać by się mogło, że poświęcenie regionowi białostockiemu ostatniego numeru „Biuletynu IPN” (zatytułowanego: *Białostockie – między cywilizacjami*) stanie się okazją do zaprezentowania w szerokim zakresie problematyki będącej rzeczywistością miejscowego społeczeństwa podczas owych kolejnych okupacji. Otwierający numer tytułowy wywiad przeprowadzony przez redaktor Barbarę Polak z prof. Adamem Dobrońskim, prof. Eugeniuszem Mironowiczem i dr. Janem Milewskim mówiący o dwudziestowiecznych losach mieszkańców województwa białostockiego prezentuje je od strony mniejszości narodowych, co samo w sobie jest niewątpliwie także ujęciem ciekawym. Zawiera jednak pewne zasadnicze tezy, z którymi zgodzić się nie sposób, jak chociażby stwierdzenie prof. Adama Dobrońskiego, że w stosunku do pierwszych lat powojennych „w odniesieniu do tych terenów uprawomocnione jest używanie terminu wojna domowa”. Nad zdefiniowaniem tego okresu przeprowadzono już wiele dyskusji i skwitowanie go określeniem „wojny domowej” właśnie w odniesieniu do Białostocczyzny jest stanowczo jeśli nie całkowicie niewłaściwe, to przynajmniej zbyt proste. Warto w tym miejscu wspomnieć chociażby o dominującej w latach 1944 i 1945 roli Sowieców w zaprowadzaniu nowych komunistycznych porządków – co z pewnością wypełniało znamiona nowej okupacji, czy też o operacjach rodzimego aparatu bezpieczeństwa – chociażby z lutego 1946 r. – które z uwagi na ogromną dysproporcję sił pomiędzy formacjami komunistycznymi a miejscowym podziemiem niepodległościowym trudno zdefiniować inaczej niż jako rodzaj polowań z nagonką lub po prostu pacyfikację. Choć jest to prawda trudna do przyjęcia dla beneficjentów półwiekowego okresu rządów komunistycznych – jedni uczestnicy tych zmagania walczyli o niepodległość i suwerenność Polski oraz



wolność człowieka, inni – sprzymierzeni z komunistycznym okupantem – walczyli przeciw tym wartościom (w latach szwedzkiego „potopu” w obozie króla szwedzkiego było więcej obywateli Rzeczypospolitej niż Szwedów, a jednak dzisiaj nikt nie próbuje nawet określać tego okresu jako wojny domowej).

Wśród tekstów umieszczonych w grudniowym numerze „Biuletynu IPN” nasze szczególne zdziwienie i zaskoczenie wzbudziły dwa. Przede wszystkim Anny Pyżewskiej *Tragedia w Sokołach – 17 lutego 1945 r.* Brakiem opracowania krytycznego zwraca także uwagę tekst ks. Józefa Kaczyńskiego pt. *Jak nie udało się uratować mieszkańców rodzinnej wsi*, dopełniony omówieniem dr. Jana Milewskiego (w tym jednak wypadku trudno mieć zastrzeżenia do księdza, który po latach wspomina tragiczne wydarzenia, chodzi raczej o konieczność dopowiedzenia faktów, które znane są dziś historykom).

Tragedia w Sokołach

Anna Pyżewska opisuje, jak podczas wykonywania przez patrol samoobrony AK-AKO pchor. Karola Gasztofta „Zemsty” wyroku śmierci na współpracownikach NKWD narodowości żydowskiej w wyniku nieprzewidzianego, tragicznego splotu okoliczności zginęły wówczas również osoby zupełnie niewinne, w tym dzieci. Co istotne, autorka postrzega to tragiczne zdarzenie w związku z osobą Kazimierza Kamieńskiego „Gryfa”, „Huzara”. Swe rozważania rozpoczyna od wysunięcia wątpliwości co do poprawności funkcjonowania mechanizmu podziemnego wymiaru sprawiedliwości, a co za tym idzie – zasadności akcji likwidacyjnych wykonywanych przez Armię Krajową. Niewątpliwie – przypadki „tragicznych pomyłek” w nienormalnej – okupacyjnej (jednej i drugiej) rzeczywistości funkcjonowania owego aparatu musiały się zdarzać i na pewno się zdarzały. Czynienie jednak z owego przeświadczenia – niepopartego żadnymi faktami – uogólnienia, że był to obszar patologii – powszechnej? – częściowej? – wydaje się nadużyciem – zwłaszcza że autorce ów wywód „potrzebny” jest do podważenia zasadności konkretnego wyroku wydanego na mieszkańców Sokół – na co nie ma ona faktycznie żadnego dowodu. Co więcej, jak można wywnioskować z analizy dokumentu podstawowego dla owych rozważań, którego autorka jednak nie dostrzega – tj. „książki egzekucji” Obwodu AK Wysokie Mazowieckie – imputowanie przez nią, że za decyzją o likwidacji mogły stać uprzedzenia narodowościowe, nie wytrzymuje krytyki. Warto w tym miejscu przypomnieć, że w artykule poświęconym właśnie aparatowi sprawiedliwości w Obwodzie Wysokie Mazowieckie (który to tekst również umknął uwadze autorki) znalazła się informacja, iż na około 220–240 osób zlikwidowanych przez AK na mocy wyroków od stycznia 1943 r. do czerwca 1944 r. Żydzi stanowili grupę poniżej 1 proc. Polaków zastrzelonych przez obwodową egzekutywę było za to aż 160 – co nie musi jednak prowadzić do tezy, że dowództwo miejscowej organizacji AK „cierpiało na antypolonizm”. „Analiza księgi [egzekucji Obwodu Wysokie Mazowieckie] pozwala także na potwierdzenie tezy, że za likwidacjami nie kryły się względy narodowościowe, ale powodem decyzji były najczęściej konkretne przewinienia i przestępstwa (np. większość Sowietów określanych w dokumentach KOB jako »turyści« zastrzelono za uprawianie bandytyzmu). Ogólnie można przyjąć, że najważniejszymi kategoriami przestępstw, za popełnienie których dowództwo obwodu orzekło najwyższy wymiar kary, były w równym stopniu: współpraca z niemieckim aparatem represji, bandytyzm oraz działalność komunistyczna połączona ze współpracą z NKWD. Zgodnie z wydanymi przez KG AK oraz KOB instrukcjami większość akcji likwidacyjnych (należy wyłączyć z tej grupy »turystów«) poprzedzana była zebraniem przez referenta wywiadu, lub też osobę przez

niego wyznaczoną, materiałów dowodowych w postaci zeznań obciążających, złożonych przez co najmniej trzech świadków, którzy kończyli je sformułowaniem: »powyższe możemy stwierdzić, w razie gdy zajdzie tego potrzeba, pod przysięgą«¹.

O trwałości wpojonych wówczas zasad właśnie na terenie Obwodu Wysokie Mazowieckie świadczą praktyki, jakimi jeszcze na początku lat 50. posługiwał się przy zwalczaniu agencji resortu bezpieczeństwa Kazimierz Kamieński „Huzar” (tekstu na ten temat autorka – gwoli przypomnienia – również nie dostrzegła). Ujęty przez UB w maju 1952 r. Henryk Ostapski „Panek” w zeznaniach, które w założeniu miały mieć dla „Huzara” charakter obciążający, mówiąc o okresie 1951–1952, stwierdzał, że aby dokonać likwidacji osoby uznanej za szkodliwą, należało uzyskać podpisy minimum dwóch gospodarzy obciążających daną osobę². Wówczas dowódca patrolu odsyłał materiał obciążający wraz ze swą opinią do „Huzara” w celu uzyskania jego akceptacji (tryb ten regulował rozkaz wydany przez „Huzara”, wykonywanie likwidacji w sposób niezgodny z nim było karane dyscyplinarnie).

Właściwe rozważania nad sprawą tragedii w Sokołach autorka rozpoczyna, tworząc specyficzny klimat artykułu, od sprawy Mordechaja i Icka Dorogojów zlikwidowanych przez żołnierza AKO Antoniego Kosmaczewskiego³. I choć Anna Pyżewska jest świadoma – bo wszak o tym sama pisze – że znaczna część ocalałych z zagłady Żydów utożsamiała się z władzami komunistycznymi, a nawet wręcz „oceniała sytuację kategoriami sowieckimi”, nie przyjmuje do wiadomości okoliczności, iż likwidacja obu Dorogojów mogła być uzasadniona i stanowić konsekwencję ich wrogiej postawy wobec podziemia niepodległościowego⁴.

Stworzywszy klimat niedomówienia sprawą Dorogojów, Anna Pyżewska wraca do swego właściwego tematu – wydarzeń z 17 lutego 1945 r. w Sokołach. Korzysta z dwóch podstawowych źródeł: relacji Michała Majka, mieszkańca Sokół narodowości żydowskiej, oraz ze znacznie późniejszych zeznań Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”. Pomija natomiast źródła wytworzone przez organizacje niepodległościowe. W naszej ocenie są one jednak jeśli nie zasadniczym kluczem, to przynajmniej równorzędnym źródłem w zestawieniu z cytowanymi do wyjaśnienia nie tylko przebiegu, ale i przyczyn wydarzeń w Sokołach. W grę wchodzi co najmniej dwa znane obecnie dokumenty AK-AKO, wytworzone przez odrębne komórki organizacyjne: „książka egzekucji” obwodu Wysokie Mazowieckie i raport informacyjny obwodu za luty 1945 r.

¹ T. Łabuszewski, *Wybrane aspekty bezpieczeństwa na przykładzie Inspektoratu Podlaskiego AK (Obwodu Wysokie Mazowieckie)* [w:] *Organy bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego*, red. W. Grabowski, Warszawa 2005, s. 136–137.

² T. Łabuszewski, *Ostatnie patrole partyzanckie 6 Brygady Wileńskiej na lewobrzeżnym Podlasiu (grupa „Lamparta” w latach 1950–1952)* [w:] *Ostatni leśni 1948–1953*, red. T. Łabuszewski, Warszawa 2003, s. 85.

³ Pomimo iż ich likwidacja została usankcjonowana i uwzględniona w oficjalnej sprawozdawczości organizacyjnej AK-AKO przez komendanta obwodu Grajewo – por. Franciszka Ważyńskiego „Wawra” i inspektora łomżyńskiego – mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdę”, autorka sugeruje, iż wykonawca likwidacji działał z obawy przed zemstą obu Dorogojów, gdyż latem 1941 r. miał zabić osobę z ich rodziny – Dorę Dorogoj. Nie bierze pod uwagę powodów utraty życia przez Dorę Dorogoj ani też okoliczności, iż obaj członkowie jej rodziny mogli zaoferować swe usługi NKWD i w ten sposób mścić się na uczestnikach podziemia niepodległościowego, co ich likwidację szeregowałoby z pewnością nie w kategorii działań podejmowanych z motywów osobistych.

⁴ S. Poleszak, *Podziemie antykomunistyczne w Łomżyńskim i Grajewskim 1944–1957*, Warszawa 2004, s. 124. Autor jednoznacznie klasyfikuje likwidację obu Dorogojów jako dokonaną za współpracę z NKWD.

Pod pozycją nr 101 w „książce egzekucji” znajduje się zwięzły zapis: „Dn. 17 II 1945 r. zlikwidowano sześciu [?] Żydów i 2 Żydówki w Sokołach. D[owód]ca patrolu otrzymał **rozkaz zlikwidowania 4 Żydów szpicli NKWD** [podkreślenie K.K. i T.Ł.], lecz z chwilą wejścia patrolu Żydzi podnieśli się do obrony, rzucając się na patrol z siekierami, wobec czego zostali zostali wystrzelani wszyscy Żydzi, którzy nie zdołali ująć. Było tam obecnych około 20 Żydów, odbywało się tam jakieś zebranie”⁵.

Zwięzłość zapisu wynika stąd, że jego celem było odnotowywanie nie tyle przebiegu, ile liczby wykonanych likwidacji. Raport informacyjny obwodu za luty 1945 r. mówi między innymi o aresztowaniach w Sokołach, a w części nas interesującej zawiera istotny fragment: „W aresztowaniach w Sokołach brało udział paru Żydów, między innymi »szturmowcy« Gorzkowicz i Raclaw. Aresztowań dokonywała szturmówka z Białegostoku złożona z Żydów, dowódca Białorusin. Wszyscy byli w mundurach kościuszkowskich. Był z nimi Mociiek Gindzburg, brat dentystki z Sokół, jako prokurator wojskowy. W czasie napadu na Żydów, w tym domu było zebranie żydowskie. Było ich 18-tu. Część uciekła. Zabito sześciu. Siódmy ranny zmarł. Są to: Kostrzewko (pracował w krematorium w Oświęcimiu, stamtąd zbiegł. Obecnie powrócił z Prus i już zdążył zostać szpiclem ps. »Wolność«). Zabito także inżyniera Żółtego i dwu Haimczuków. Reszta Żydówki”⁶.

Możemy dodać, że niektóre polskie relacje określały zebranie, w którym uczestniczyli Żydzi, jako „zebranie demokratów” (słowo to użyte jest tu w znaczeniu negatywnym, oznaczającym współpracowników władz).

O wydarzeniach w Sokołach mówi także relacja złożona przez jednego z obecnych tam wówczas żołnierzy samoobrony AKO (nazwiska i pseudonimu ze zrozumiałych względów nie podajemy): „Wykonywane przez nas akcje trudno tak po kolei wymieniść. Pierwsza była zaraz w styczniu – w Kobylinie, gdzie zlikwidowaliśmy Ostrowskiego. To był oficjalny współpracownik sowiecki jeszcze z czasów pierwszej okupacji. [...]

Jeśli chodzi o Sokoły, to miał tam być wykonany wyrok na jednej osobie [sic! – wg przytoczonego meldunku informacyjnego na czterech], na jednym Żydzie współpracującym z NKWD. Nie znam jego nazwiska. Ja tam nie byłem w środku, byłem na obstawie. Chodziło o zlikwidowanie jednej osoby. Ten »Pazur« był w grupie, która miała to wykonać, później mówiono, że to przez niego było. Jak weszli do środka, to okazało się, że tam są zebrani Żydzi. To było jakieś zebranie, czy może na szabas się zebrali, jaki to był dzień? Tam doszło do zamieszania, ktoś przewrócił lampę, rzucili się na ten patrol – ten »Pazur« zaczął strzelać na oślep, po ciemku. Tak słyszałem, ale jak mówiłem – nie wiem dokładnie, jak tam było, bo nie byłem z nimi w środku. To, co się tam zdarzyło, to było tylko omyłkowo, chodziło tylko o jednego z nich, na którym miał być wykonany wyrok. Nie było to zamiarem, żeby ich tam ...”⁷.

Pominięte przez Annę Pyżewską dokumenty pozwalają przede wszystkim na ustalenie powodu, dla którego patrol samoobrony poszedł do Sokół, oraz na skonfrontowanie przypuszczalnego rozwoju wypadków, do jakich doszło po wkroczeniu patrolu likwidacyjnego do mieszkania. Do niekontrolowanej strzelaniny doszło najprawdopodobniej przypadkowo – w wyniku przewrócenia lampy naftowej i zaistniałej szamotaniny. W efekcie zginęły także

⁵ D. CA MSW, K/17, obecnie AIPN, Książka egzekucji Obwodu nr 5 (Wysokie Mazowieckie).

⁶ J. Zieleniewski, *Raporty wywiadu AK-AKO-WiN Obwodu Wysokie Mazowieckie w Okręgu Białystok 1944–1947*, t. 1, Białystok 2001, s. 64.

⁷ Relacja w zbiorach autorów.



Kazimierz Kamiński „Huzar”

osoby zupełnie niewinne, w tym dzieci – co jest straszną tragedią (to chyba jedyna rzecz, z jaką możemy zgodzić się bez cienia wątpliwości). Odpowiedzialność za taki przebieg wydarzeń obciąża zarówno wywiad obwodu, który nie przeprowadził przed akcją odpowiedniego rozpoznania, jak i – a raczej przede wszystkim – konkretnego wykonawcę, który uważając, że najważniejsze jest przeprowadzenie zleconych likwidacji, podjął nietrafną – karygodną wręcz decyzję strzelania w zupełnych ciemnościach. Była to jednak jego własna decyzja, nie otrzymał rozkazu działania w ten sposób od swych przełożonych.

Czytelnik z pewnością zada sobie pytanie, co wspólnego z całą sprawą miał Kazimierz Kamiński „Huzar” i po co autorka wprowadziła jego osobę do swego artykułu. Z całej trzynastoletniej chlubnej działalności Kazimierza Kamińskiego „Gryfa”, „Huzara” wybrała wątek najmniej chyba reprezentatywny dla postaci tego legendarnego bohatera partyzantki podlaskiej i z uporem usiłuje powiązać go ze sprawą tragicznie zakończoną likwidacją w Sokołach. Z ogromnego materiału, jaki udało nam się zebrać na temat „Huzara”, wynika jednoznacznie, że w swej działalności nigdy nie kierował się on antysemityzmem, podchodząc do wszystkich ludzi w sposób obywatelski i oceniając ich jedynie wedle kryterium, jakim był ich stosunek do sprawy niepodległości Polski. W omawianym zdarzeniu „Huzar” nie uczestniczył, po prostu był w tym czasie w Sokołach wraz z drugim, dowodzonym przez siebie patrolem, wracając z innego zadania. Nie wydał rozkazu przeprowadzenia omawianej akcji likwidacyjnej i nie znał nawet jej szczegółów (można sądzić, że rejonowy patrol samoobrony wykonywał likwidację na rozkaz Komendy Obwodu). Postać legendarnego partyzanta wprowadzona została chyba tylko po to, aby można było mówić o niej w kontekście tragicznej likwidacji w Sokołach. Opis wydarzeń w Sokołach dokonany przez Annę Pyżewską jest wybiórczy i daleki od obiektywizmu, a dla żołnierzy podziemia niepodległościowego, zwłaszcza komendanta „Huzara” – niezwykle krzywdzący.

Krasowo-Częstki

Wspomnienie ks. Józefa Kaczyńskiego *Jak nie udało się uratować mieszkańców rodzinnej wsi*, podane do druku i opatrzone komentarzem przez dr. Jana Milewskiego, również budzi mieszane odczucia. Artykuł ten mówi o pacyfikacji przez Niemców wsi Krasowo-Częstki w dniu 17 lipca 1943 r. W najkrótszym streszczeniu sprawa, według autorów wspomnienia i komentarza, wyglądała tak: 1) oddział partyzancki AK 11 lipca 1943 r. zaatakował zupełnie niepotrzebnie grupę Niemców, zabijając ośmiu z nich, 2) Niemcy w odwet spacyfikowali 17 lipca 1943 r. wieś Krasowo-Częstki, okrutnie mordując 257 osób, 3) dobry Niemiec, oficer żandarmerii z Tykocina Philipp Schweiger usiłował za pośrednictwem ks. Kaczyńskiego ostrzec ludność przed pacyfikacją, mieszkańcy jednak zlekceważyli ów sygnał, 4) całości przygnębiającego obrazu dopełnia końcowa informacja dr. Milewskiego, że ów dobry Niemiec zginął 25 maja 1944 r. w wyniku (niepotrzebnego?) zamachu przeprowadzonego przez oddział AK.

Autor, przygotowując komentarz do tekstu ks. Józefa Kaczyńskiego, nie zdecydował się, by sięgnąć po dokumenty wytworzone przez struktury Armii Krajowej i Delegatury Rządu,

mające istotne znaczenie nie tylko dla sprawy zagłady Krasowa-Częstek, ale i dla ogólnego obrazu sytuacji panującej na Białostocczyźnie w lecie 1943 r.⁸ W efekcie całość dwugłosu w sprawie tragedii w Krasowie-Częstkach, mogącego być też przyczynkiem w stałej dyskusji – „bić się czy nie bić?” – jest kompletnie wyrwana z kontekstu wydarzeń rozgrywających się latem 1943 r. na Białostocczyźnie. Ks. Józef Kaczyński, który wyraża pogląd, że akcja partyzantów była zupełnie niepotrzebna, czyniąc ich w domyśle odpowiedzialnymi za tragedię spacyfikowanej wioski, nie musi znać kontekstu wspomnianych przez siebie zdarzeń. Tymczasem niezależnie od tego, czy partyzanci z oddziału Kedywu Obwodu Wysokie Mazowieckie zaatakowali 11 lipca 1943 r. ekspedycję niemiecką, czy też nie – pacyfikacja była przesądzona. Jeśli nie Krasowa-Częstek, to jakiegokolwiek innej dużej wioski z powiatu wysokomazowieckiego. W początkach lipca 1943 r. okupacyjne władze niemieckie podjęły decyzję o przeprowadzeniu masowych akcji pacyfikacyjnych na terenie całego Bezirk Białystok, skierowanych wyłącznie przeciwko ludności polskiej. Działania te miały Polaków załamać i zastraszyć, zniechęcając do stawiania oporu władzom hitlerowskim.

Gdy 10 lipca 1943 r. oddział ppor. cz.w. Tadeusza Westfala „Misia”, „Ostrogi”, „Karasia” kierował się na kwaterę w koloniach opodal Krasowa-Częstek, w Białymstoku urzędowała już „grupa Mullera”, mająca realizować wspomniane działania eksterminacyjne⁹. Ich wykonawcą, oprócz funkcjonariuszy gestapo, żandarmerii i policji, był pomocniczy batalion białoruski i jednostka litewska. „Grupa Mullera” wspierana była w poszczególnych powiatach objętych pacyfikacją przez miejscowe siły żandarmerii, SS i policji. W działaniach pacyfikacyjnych uczestniczyli też pracownicy niemieckiej administracji. W ramach zaplanowanych działań przeprowadzono dwie masowe egzekucje na Polakach w Białymstoku oraz jedną w Wasilkowie. W każdym mieście powiatowym dokonano masowych egzekucji na aresztowanych przedstawicielach polskiej inteligencji. Największe miały miejsce w fortach pod Grodnem, w lesie Kosówka k. Grajewa i w Jeziorku pod Łomżą (tylko w tym ostatnim miejscu zginęło blisko 1000 osób). Masowe egzekucje przeprowadzono też we Wroceniu, Sławcu (rozstrzeliwano tu aresztowanych z Zambrowa i Wysokiego Mazowieckiego) oraz Bielsku Podlaskim. Na szlaku od powiatu grodzieńskiego przez Białystok, powiat bielskopodlaski, wysokomazowiecki, łomżyński i grajewski spacyfikowane zostały m.in. wioski: Szaulicze (tu największa liczba ofiar – ponad 380), Zawady (egzekucja w lesie Łysa Góra), Sikory-Tomkowięta, Wnory-Wandy, rozstrzelano też dużą grupę mieszkańców Laskowca. Egzekucje i pacyfikacje rozpoczęły się 13 lipca 1943 r. Jednym z elementów masowej akcji eksterminacyjnej stało się też zniszczenie wsi Krasowo-Częstki.

Czy jedynym powodem wybrania tej wioski jako obiektu pacyfikacji była stoczona tydzień wcześniej walka z oddziałem AK i poniesione w niej straty? Tak wynikałoby ze wspomnienia ks. Kaczyńskiego i komentarza dr. Milewskiego. Być może nie bez znaczenia jest też okoliczność, że trzy miesiące wcześniej, 6 kwietnia 1943 r., patrol Kedywu wykonał w Krasowie-Częstkach wyrok śmierci na niemieckim konfidentie, Romanie Porowskim. Na podstawie donosu złożonego przez jego matkę żandarmeria aresztowała braci Kazimierza, Eugeniusza i Antoniego Krasowskich jako domniemanych zamachowców. Zostali oni odbici z aresztu nocą 10/11 kwietnia 1943 r. podczas akcji Kedywu na posterunek żandarmerii w Dąbrówce Kościelnej. Okoliczność ta mogła wskazywać, podobnie jak donosy miejscowych konfidentów, na wieś Krasowo-Częstki jako na miejsce, w którym „za dużo się dzieje”.

⁸ Np. AAN O VI 202/I-34, *Masowe egzekucje na Białostocczyźnie...*, k. 159–160.

⁹ Zob. J. Smurzyński, *Czarne lata na łomżyńskiej ziemi*, Łomża 1997, s. 56–60.

Uwadze autora komentarza uchodzi też okoliczność, że atak oddziału Kedywu na niemiecką ekspedycję był z formalnego punktu widzenia w pełni zasadny – dokonano go w celu odbicia aresztowanych. Prowadzenie tego rodzaju działań było jednym z podstawowych celów Kedywu i trudno mieć pretensję do dowódcy oddziału, że starał się ów cel jak najlepiej realizować. Trudno tego wymagać od autora wspomnienia, ale w komentarzu powinien zostać przedstawiony szczególny „klimat” tej części województwa białostockiego wiosną i latem 1943 r., charakteryzujący się znaczną jak na Białostoczczyznę dynamiką działań partyzanckich (rozbite posterunki żandarmerii w Kobylinie i Zawadach, zaatakowane posterunki w Kuleszach i Dąbrówce Kościelnej, walki z Niemcami pod Jeżewem i Kalnikiem, szereg uderzeń na gminy, linie telekomunikacyjne, liczne likwidacje schutzmanów, szpicli i band rabunkowych). Komendant Obwodu Wysokie Mazowieckie w meldunku za maj 1943 r. informował: „Po ostatniej serii egzekucji na policjantach, padł na drugich błądy strach”, a raport za czerwiec 1943 r. kończył stwierdzeniem: „Po tych wszystkich wypadkach, jakie miały miejsce na terenie »Lwa«, na Niemców padł błądy strach. Mniejsze posterunki zostały ściągnięte i zgrupowane razem. Same posterunki są odrutowane drutem kolczastym i okopane niektóre rowami strzeleckimi. Przed posterunkami w dzień i w nocy stoją posterunki alarmowe z bronią. Komisarze i żandarmeria złagodniała zupełnie”. Tu naprawdę toczyła się wojna polsko-niemiecka, lecz o tym nie dowiemy się z materiału dr. Milewskiego.

Dla zilustrowania przebiegu walki stoczony 11 lipca i akcji pacyfikacyjnej z 17 lipca 1943 r. przytaczamy dwa dokumenty wytworzone przez struktury Armii Krajowej. Pierwszy to meldunek specjalny komendanta Okręgu Białostok z dnia 16 lipca 1943 r., a więc jeszcze sprzed pacyfikacji – pełen entuzjazmu i zadowolenia z udanej akcji. Drugi, pochodzący z 4 sierpnia 1943 r., to meldunek komendanta Obwodu Wysokie Mazowieckie, zawierający między innymi informację o zniszczeniu wsi. Przytaczamy go w obszernym fragmencie, pokazującym także inne działania Kedywu na terenie powiatu wysokomazowieckiego. Dokumenty te różnią się szczegółami, m.in. inaczej określają straty niemieckie¹⁰. Wbrew informacji zawartej w meldunku ppłk. „Mścistawa” oddział Kedywu oprócz rannych miał też i trzech zabitych, co odnotowuje raport Komendy Obwodu.

Tragiczny dzień 17 lipca 1943 r. nie zamyka jednak sprawy wsi Krasowo-Częstki. W odwet za ludobójstwo popełnione przez Niemców ppor. Stanisław Karolkiewicz „Szczęsny”, dowódca jednego z oddziałów VIII Uderzeniowego Batalionu Kadrowego (wywodzącego się ze scalonej właśnie z AK Konfederacji Narodu), wstrząśnięty ogromem i potwornością zbrodni, postanowił przeprowadzić odwetowy wypad na teren Prus Wschodnich (bezpośredni wpływ na tę decyzję miała okoliczność, że wielu miejscowych żandarmów i pracowników hitlerowskiej administracji pochodziło z Prus Wschodnich; nie bez znaczenia był też fakt, iż po mienie zagrabione ofiarom pacyfikacji przyjeżdżali Niemcy zamieszkałi w Prusach). Zamiar ten zrealizował i 15 sierpnia 1943 r. zaatakował miejscowości Krummenheide i Mittenheide w rejonie Pizsa, przysparzając kompletnie zaskoczonym Niemcom znacznych strat i zniszczeń.

¹⁰ Dokument pierwszy określa straty niemieckie na 11 zabitych (3 żandarmów, 7 ukraińskich żołnierzy Jagdkommando, 1 schutzman Polak) i 7 ciężko i kilku lżej rannych + 2 woźniców. Dokument drugi mówi o 14 zabitych po stronie niemieckiej (9 żołnierzy Jagdkommando, 3 żandarmów, 1 schutzmann) i 7 rannych + 2 zabitych i 1 ranny woźnica. Jeszcze inaczej swoje straty określali sami Niemcy. Według rozplakatowanego ogłoszenia: „Dnia 11 VII w pobliżu Dąbrówki, powiat Łomża, zostali podstępnie zastrzeleni przez bandytów 5 wojskowych, 3 żandarmów i 1 woźnica narodowości polskiej, oraz ciężko zranieni jeszcze jeden wojskowy jak również 1 policjant spośród ludności miejscowej” (AAN O VI. 202/III-7, t. 5, k. 347–348).

Aneks 1

„Bekas”¹¹
dn. 16 VII [19]43
Nr 447

Otrzymano z „Czapli”¹² 7 VIII [19]43 r.
Nasz nr 1378

Melduję:

1) W dniu 11 lipca br. o godz. 3-ej Niemcy w sile: 15 żandarmów oraz 40 żołnierzy z jagdkomando W[ysokie Mazowieckiej] aresztowali we wsi Ł[opień] i P[...] 15 osób jako należących do organizacji.

2) Pluton Kedywu obwodu Nr 5¹³ pod dowództwem ob[ywatela] „Misia”¹⁴ w sile 26 ludzi, który przypadkowo przebywał w tym rejonie, przygotował zasadzkę na powracających Niemców w miejscowości K[alnik].

3) O godz. 5-ej zatrzymano oddział niemiecki wraz z aresztowanymi i rozpoczęto walkę, w wyniku której padło:

| | |
|---|----------------------|
| 3 żandarmów | 1 schutzman Polak |
| 7 żołnierzy (Ukraiń[cy]) | 2 woźniców - Polaków |
| 7 Niemców ciężko rannych i kilku lżej rannych | |

4) Zdobyto: 1 pistolet masz[ynowy], 2 kb automat[yczne] niem[ieckie] dziesięciostrzał[owe], 1 kbk, 3 pistolety oraz zniszczono 1 samochód.

5) Większa część aresztowanych zdążyła zwać.

6) Niemcy walki nie wytrzymali i zwiali.

7) Straty własne: 3 żołnierzy lekko rannych¹⁵.

8) Oddział Kedyw wycofał się do lasów Wyliny.

9) W godzinę czasu przybyło na miejsce walki gestapo wraz z żandarmerią i oddziały wojskowe z Ł[ap], S[zepietowa?], Sokół?, „Łosia”¹⁶, C[zyżewa] w sile około 300 ludzi. Przeprowadzili rewizję w kilku pobliskich wsiach oraz na skraju lasów i odjechali.

10) Niemcy grożą spalaniem kilku pobliskich wsi. Duch i postawa miejscowej ludności znacznie się wzniosły, że Polacy w znikomej sile pobili tylu Niemców.

11) na specjalne wyróżnienie zasługuje d[owód]ca oddziału ob[ywatel] „Miś”.

¹¹ „Bekas” – kryptonim Białostockiego Okręgu AK.

¹² „Czapla” – kryptonim Obszaru AK Białystok (obejmującego okręgi: Białystok, Nowogródek i Polesie).

¹³ Obwód nr 5 obejmował teren pow. wysokomazowieckiego.

¹⁴ Ppor. cz.w. Tadeusz Westfal „Miś”, „Ostroga”, „Karaś”, uczestnik wojny obronnej w 1939 r. (lotnik), jeden z pierwszych organizatorów podziemia niepodległościowego w podlaskiej części województwa białostockiego w okresie pierwszej okupacji sowieckiej 1939–1941. W okresie okupacji niemieckiej pełnił różne funkcje w Obwodzie Wysokie Mazowieckie i Inspektoracie „Podlaskim” Białostockiego Okręgu AK: szefa wywiadu obwodu, szefa Kedywu obwodu i inspektoratu, p.o. komendanta obwodu. Jednocześnie w latach 1943–1944 dowodził oddziałem partyzanckim operującym na terenie Obwodu Wysokie Mazowieckie. Poległ w lipcu 1944 r., zabity przez spadochroniarzy sowieckich.

¹⁵ W istocie straty oddziału Kedywu były większe, oprócz rannych było i trzech zabitych, zob. aneks nr 2.

¹⁶ „Łoś” – kryptonim Obwodu AK Zambrów; w zapisie dokumentu chodzi o wskazanie, że w operacji niemieckiej uczestniczyły też jednostki z Zambrowa.

„Czapla”, dn. 21 VII [19]43
 Nr 736
 Przedstawiam meldunek „Bekasa” do wiadomości.

„Mścisław”¹⁷

„Grzymała”¹⁸

Aneks 2

„Lew”
 Dnia 4 VIII 1943 r.

Raport

Sabotażowo-dywersyjny z m[iesiąc] lipiec 1943 r.

„[...]”

5) W dniu 11 VII [1943 r.] o godz. 5-ej rano na kolonii Kalnik w pobliżu wsi Krasewo-Częstki doszło do starcia pomiędzy kwaterującym na tej kolonii u gospodarza Kruszewskiego oddziałem Kedywu „Lwa”¹⁹ a wojskiem i żandarmerią z Wys[okiego] Mazowieckiego i Dąbrówki Kościelnej, którzy tamtędy powracali po dokonaniu aresztowań w Łopieniu.

W starciu zginęło po stronie Niemców: 9 żołnierzy z Jagdkommando w Wys[okiem] Maz[owieckiem], 3 żandarmów i 1 Polak – schutzmann, ranionych zostało 7. Zdobyto 1 p[istolet] m[aszynowy] sowiecki, 2 kb aut[omatyczne] sow[ieckie], 1 kbk niem[iecki], 3 pistolety i 3 [ze]garki.

Straty własne: 3 zabitych²⁰ od własnego granatu, który trafiony pociskiem wybuchł, 3 lekko rannych²¹. Stracono 2 rkm sow[ieckie] i 2 kbk.

Pozatem zostało zabitych 2 Polaków – woźniców i jeden lekko ranny. Uszkodzono również poważnie samochód ciężarowy, którym jechała [żandarmeria?].

W odwet za to spalili Niemcy w dniu 16 lipca wieś Krasewo-Częstki. Mieszkańców w znacznej mierze wystrzelano. Ogólnie zginęło z rąk oprawców [...]° osób wraz z dziećmi i starcami. Ocalało 204 osoby. Oprawcy w straszny sposób mordowali bezbronną ludność. Dzieci, niemowlęta strzelano wraz z matkami albo żywe wrzucano do dołów. Większe ogłuszano uderzeniem kolby lub pałki i także wrzucano. Na żywych jeszcze zasypano ziemię i ją udeptywano. Egzekucję wykonał oddział SS z Rutek koło Zambrowa przy pomocy Gestapo, Jagdkommando z W[ysokiego] Maz[owieckiego] oraz okolicznych posterunków żandarm[er]ii. Wszelki dobytek mieszkańców zabrano do Szepietowa, a zabudowania spalono. Zdobyczą podzielili się oprawcy pomiędzy sobą, resztę sprzedając ludności po zaniżonych cenach²². Chętnych do kupna dużo się znajduje.

° Liczba zupełnie nieczytelna.

¹⁷ Pptk Władysław Liniarski „Mścisław”, komendant Białostockiego Okręgu AK.

¹⁸ Płk Edward Godlewski „Grzymała”, komendant Obszaru AK Białystok.

¹⁹ „Lew” – kryptonim Obwodu AK Wysokie Mazowieckie.

²⁰ Polegli: Papiński ze wsi Racibory oraz Zawisza i Skarzyński pochodzący z terenu gminy Dąbrowa Wielka.

²¹ Ranni zostali m.in.: dowódca drużyny – pchor. Zygmunt Stokowski „Oliwa” (poległ w lipcu 1944 r. w akcji przeciwko Niemcom pod wsią Czarnowo-Undy) i Tadeusz Stryk „Dzik”.

²² Oprócz miejscowych amatorów łatwego wzbogacenia się po zagrabione mienie ofiar przyjeżdżali Niemcy aż z Prus Wschodnich.

6) W nocy z 16 na 17 VII oddział Kedywu „Lwa” urządził wypad na m. Kołaki. Zniszczono mleczarnię – dla ulżenia ludności w dostawie mleka oraz zniszczono wszelkie akta i dokumenty w urzędzie gminnym w Kołakach. [...]

7) W nocy z 18 na 19 VII oddział Kedywu „Lwa” urządził wypad na m. Kulesze. Zniszczono wszystkie akta i dokumenty z amtskomissariatu, łącznie z kartotekami meldunkowymi, urzędzenia pocztowe na miejscowej poczcie. Rozbrojono Amtskomisarza, zabierając mu: 3 pistolety, 1 kbk norweski, 1 maszynę do pisania, amunicję do kb i pistoletów, buty komisarza oraz mundur paradny. Przy rozbrajaniu komisarza rolnego został ten zabity strzałem przez drzwi, ponieważ strzelał do tych, którzy się dobijali do drzwi. Zabrano 1 kb sow[iecki] i 1 pistolet. Poza tym zabrano ze sklepu kontyngentowego materiał na ubrania oraz cukier. Na własną prośbę [właściciela] zdemolowano pozornie sklep rzeźnicki – kontyngentowy oraz piekarnię [...]. Papiery i dokumenty z amtskomissariatu częściowo powy noszono przed dom, oblano benzyną i spalono, a częściowo zabrano ze sobą – co ważniejsze. Rzeczy prywatnych w żadnym wypadku nie zabierano. Z kasy amtskomissariatu zabrano 6091 R[eichs]m[arek]. Przez cały czas akcji posterunek żandarmerii był ostrzeliwany przez rkm, ażeby nie wypuścić żandarmów. W czasie strzelaniny został zastrzelony 1 żandarm i 1 ranny. Cała robota trwała około 1 godziny.

Jako represję spalili Niemcy wieś Wnory-Wandy, którą już dawno podejrzewali o bandytyzm – w czerwcu już było kilku aresztowanych z tej wsi za spółkę z bandą rabunkową²³. Ludność w większości zdołała zbiec. Wybito 27 osób, przeważnie starców.

8) W odwet za rozbrojenie w czerwcu przez oddział K[onfederacji] N[arodu] posterunków [żandarmerii] w Kobylinie i Zawadach została spalona wieś Sikory-Tomkowięta²⁴. Ludność tej wsi została wystrzelana. Zginęło 47 osób ogółem z dziećmi. Barbarzyńcy strzelali w potylicę każdego.

Po ostatnich wypadkach masowych represji ze strony okupanta na ludność miejscową padł blady strach. Dało się zauważyć zupełne załamanie duchowe, przynajmniej u pewnej części ludności. Stan ten, w miarę poprawy sytuacji ogólnopolitycznej ulega poprawie na lepsze. Miejscowi Niemcy są oburzeni tymi masakrami, jakie Gestapo przeprowadza, albo tylko pozornie udają oburzenie. Masakra ta wśród Niemców ducha nie podniosła, a przeciwnie, jeszcze ich przygnębił rozrost bandytyzmu – jak oni to nazywają.

K[omendant] O[bwodu] „Lew”
„Miś” „Lida”²⁵

²³ Pacyfikacji wsi Wnory-Wandy dokonano 21 VII 1943 r.

²⁴ 21 VI 1943 r. grupy UBK dowodzone przez Tadeusza J. Jagodzińskiego „Stefana Pawłowskiego” i Bronisława Kamontę „Goliata” rozbiły posterunki w Zawadach i Kobylinie. W odwet Niemcy spacyfikowali 13 VII 1943 r. wieś Sikory-Tomkowięta i rozstrzelali grupę mieszkańców Zawad w lesie Łysa Góra.

²⁵ Por. Stefan Bialik „Lida”, ówczesny komendant Obwodu AK Wysokie Mazowieckie.

BIAŁOSTOCKIE – MIĘDZY RÓŻNYMI SPOSOBAMI WIDZENIA HISTORII CD.

W dobie zaniku krytycznych recenzji i pisania grzecznościowych tekstów cieszy każdy przypadek autentycznej polemiki. Z taką nadzieją przystępowaliśmy do lektury tekstu Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego pt. *Białostockie – między różnymi sposobami widzenia historii*, zamieszczonego w ostatnim numerze „Biuletynu Instytutu Pamięci Narodowej” („Biuletyn IPN” 2006, nr 1–2, s. 136–142).

Zacznijmy od pierwszej kwestii: polemici posądzają autorkę tekstu o tragedii w Sokołach o nieuctwo, gdyż do tego można sprowadzić zarzut, że nie wykorzystata ona podstawowych źródeł i opracowań – zwłaszcza „Książki egzekucji” Obwodu AK Wysokie Mazowieckie. Pragniemy wyprowadzić ich z błędu – autorka korzystała z tego źródła i powołuje się na nie w pierwszej wersji tekstu złożonego w redakcji (przyp. 42). Autorka faktycznie nie wykorzystata dwóch pozycji, o których piszą K. Krajewski i T. Łabuszewski:

1) na zarzut, że umknął uwadze autorki artykuł poświęcony aparatowi sprawiedliwości w Obwodzie Wysokie Mazowieckie chcielibyśmy jedynie wyjaśnić, że książka *Organy bezpieczeństwa i wymiar sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego*, zawierająca artykuł T. Łabuszewskiego, dotarła z drukarni do Gospodarstwa Pomocniczego IPN 20 grudnia 2005 r. (a to rozpoczynało proces dystrybucji), podczas gdy artykuł został złożony do druku w listopadzie;

2) nie wykorzystano też „tajnej relacji” w zbiorach polemistów, której autora „ze zrozumiałych względów” nawet obecnie oni nie podają. Warto jednak zauważyć, że relacja ta jest zbieżna z zeznaniami Kazimierza Kamieńskiego, na które powołuje się A. Pyżewska, a z kolei podważa to podstawowe fakty podane w „Książce egzekucji” (miano wykonać wyrok na jednej osobie; „Książka” podaje, że – na czterech).

Polemici krytykują autorkę, że wysuwa wątpliwości co do poprawności funkcjonowania mechanizmu podziemnego wymiaru sprawiedliwości i że czyni z tego „obszar patologii powszechnej” (s. 137). A. Pyżewska nie czyni z tego „obszaru patologii powszechnej”, a jedynie przytacza wątpliwości za artykułem, którego współautorem był Zdzisław Gwozdek, żołnierz AK, badacz dziejów tej organizacji w okręgu białostockim, którego nie można posądzić ani o nieprzychylność wobec AK, ani o brak kompetencji, a z którego dorobku K. Krajewski i T. Łabuszewski korzystają raczej obficie. T. Łabuszewski jest chyba zwolennikiem przemilczania wątpliwości, skoro nie zauważył tego tekstu i nie odniósł się do niego w swoim ostatnim artykule (*Wybrane aspekty bezpieczeństwa na przykładzie Inspektoratu Podlaskiego AK (Obwodu Wysokie Mazowieckie)* [w:] *Organy bezpieczeństwa i wymiar sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego*, Warszawa 2005).

O ile w przypadku tekstu o pacyfikacji wsi Krasowo-Częstki K. Krajewski i T. Łabuszewski zarzucają, że nie pokazano ogólnego obrazu sytuacji panującej na Białostocczyźnie w lecie 1943 r., o tyle gdy w artykule o tragedii w Sokołach autorka pokazuje tło – krytykują z kolei, że w ten sposób stwarza klimat niedomówień, bo „nie przyjmuje do wiadomości okoliczności, że likwidacja obu Dorogojów mogła być uzasadniona i stanowić konse-

kwencję ich wrogiej postawy wobec podziemia niepodległościowego” (s. 138). Przypomnijmy zatem, że autorka – w przeciwieństwie do polemistów – ma jedynie wątpliwości: „Jaka była więc faktyczna przyczyna ich śmierci: współpraca z Sowietami czy pogroźki pod adresem Kosmaczewskiego – trudno stwierdzić z całą pewnością. Wydaje się raczej to drugie” („Biuletyn IPN” 2005, nr 12, s. 78). Czy można nie mieć takich wątpliwości, biorąc pod uwagę tylko dwa fakty:

1) że „likwidacja” ta wyprzedziła o kilka tygodni aktywność zbrojną AK w tym okręgu po wkroczeniu Armii Czerwonej¹

2) że ta sama osoba „likwidowała” wówczas Mordechaja i Icka Dorogojów, która na przełomie czerwca i lipca 1941 r. „likwidowała” ich córkę i siostrę Dorę.

Pozostawmy to do oceny czytelników.

„Książka egzekucji”, której niewykorzystanie niesłusznie zarzucają autorce polemiści, nie tylko nie potwierdza prostych tez Krajewskiego i Łabuszewskiego, ale raczej skłania do mnożenia wątpliwości i stawiania kolejnych pytań:

1) dlaczego zabicie 17 lutego 1945 r. w Sokołach 4-letniej dziewczynki i 13-letniego chłopca też określa się mianem „likwidacji”;

2) dlaczego przy tragedii w Sokołach w „Książce egzekucji” nie pisze się o nieszczęśliwym wypadku, pomyłce – tak jak to czyni się w odniesieniu do sytuacji mającej miejsce dzień wcześniej (16 lutego 1945 r.) we wsi Dworaki, kiedy zastrzelono Michała Stypułkowskiego (Polaka, który szedł z żołnierzami sowieckimi)²;

3) dlaczego w „Książce egzekucji” wymienia się nazwiska osób, na których wykonano wyroki, a nie wymienia się ich w przypadku Sokół;

4) dlaczego nazwiska Żydów, którzy zginęli w Sokołach, nie pokrywają się z nazwiskami osób narodowości żydowskiej uczestniczących w aresztowaniach w Sokołach, a wymienionych w raportach wywiadu Obwodu Wysokie Mazowieckie, skoro autorzy uważają, że jest to istotne?

Przypominamy o tym, bo autorka miała jedynie wątpliwości, czy w Sokołach zginęły te osoby (osoba), na które został wydany wyrok.

K. Krajewski i T. Łabuszewski zarzucają A. Piżewskiej, że pisząc artykuł o tragedii w Sokołach, chciała zdyskredytować Kazimierza Kamieńskiego „Huzara” i „z uporem usiłuje powiązać go ze sprawą tragicznie zakończoną likwidacją w Sokołach. [...] Opis wydarzeń jest wybiórczy i daleki od obiektywizmu” (s. 140). Zapewne – ich zdaniem – nie byłby wybiórczy, gdyby przemilczała fakt, że „Huzar” poprzez obstawienie posterunku MO ubezpieczał akcję likwidacyjną.

Kazimierz Kamieński „Huzar” jest rzeczywistym bohaterem podziemia niepodległościowego, ale to nie powód, żeby pomijać jakieś fragmenty z jego biografii. O naszym stosunku do niego świadczą fakt przekazania do publikacji zdjęcia jego pomnika z Piekut No-

¹ S. Poleszak, *Podziemie antykomunistyczne w Łomżyńskim*, Warszawa 2004, s. 124: „Działalność zbrojna została w zasadzie zapoczątkowana w kwietniu 1945 r. Jedynymi wyjątkami były przeprowadzone w dniu 28 lutego dwie akcje w Radziłowie. Patrol AK zlikwidował wtedy dwóch tamtejszych Polaków pochodzenia żydowskiego »za współpracę z NKWD«. Byli to Mordchaj Dorogoj i Icek Dorogoj”. Dodajmy, że była to tylko jedna akcja, w Słuczu, i są przypuszczenia, że została przeprowadzona wcześniej.

² Autorzy polemiki kilka lat temu napisali: „W lutym 1945 r. patrole samoobrony obwodu zlikwidowały 20 osób (w tym jedną przez pomyłkę)” (K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Białostocki okręg AK–AKO*, Warszawa 1997, s. 240). A więc: była pomyłka tylko w Dworakach, nie było pomyłki w Sokołach. Cieszymy się, że przynajmniej w tej kwestii autorzy po kilku latach zmienili zdanie.

wych, które zostało umieszczone na okładce, choć do głowy nam nie przyszło, że może być ono użyte także jako ilustracja artykułu o wydarzeniach w Sokołach.

Nie zamierzamy także do podpierania swoich racji używać matematyki – mamy jednak pytanie do K. Krajewskiego i T. Łabuszewskiego: jakimi metodami udało im się ustalić, że czterech (Żydów) spośród 220–240 osób to jest „poniżej 1 proc.”? (s. 137).

Podsumowując: uprawiając historię w ten sposób, jaki preferują (przynajmniej w polemice) K. Krajewski i T. Łabuszewski, znowu zostaniemy zaskoczeni nową książką Jana Tomasa Grossa lub innego autora i znowu – zdziwieni i bezradni – będziemy narzekać na jakiś światowy spiszek określonych sił.

Przejdźmy do drugiego wątku polemiki: pacyfikacji wsi Krasowo-Częstki. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby problem pacyfikacji akurat tej wsi mógł stać się przyczynkiem do dyskusji pt. „Bić się czy nie bić?”. Czy czytelnicy ze zdania komentarza: „Ponieważ partyzanci nie zdążyli się wycofać, zorganizowali zasadzkę [...]” mogą wyciągnąć wniosek, że jego autor uważa, iż oddział ten „zaatakował zupełnie **niepotrzebnie** grupę Niemców”? Na pewno nie, ale oczywiście nie dotyczy to K. Krajewskiego i T. Łabuszewskiego. Czy ze stwierdzenia: „Philipp Schweiger zginął 25 maja 1944 r. w wyniku zamachu dokonanego przez oddział AK na trasie Rzędziany–Jeżewo” można wyciągnąć wniosek, że autor twierdzi, iż zginął on „w wyniku **niepotrzebnego** zamachu”? Oczywiście nie, ale nie dotyczy to K. Krajewskiego i T. Łabuszewskiego. Z obydwojma Panami, którzy do 16 wersów komentarza (reszta dotyczyła bezpośrednio osoby ks. J. Kaczyńskiego) napisali pięć i pół strony tekstu, nie ma sensu dalej polemizować ani spierać się o szczegóły, ani dopisywać kolejnych stron faktografii. Żałujemy, że uwadze K. Krajewskiego i T. Łabuszewskiego umknęło tytułowe pytanie: „Jak nie udało się ks. Kaczyńskiemu uratować mieszkańców rodzinnej wsi” oraz nie zrodziły się refleksje na temat postawy samego księdza, który pomimo tak wielkiej tragedii, jaka go spotkała ze strony Niemców, potrafił już w końcu lat pięćdziesiątych wznieść się ponad urazy i przypomnieć „dobrego Niemca”, co dało początek procesowi przebaczenia pomiędzy Krasowem-Częstkami i parafią w Meckenheim, czego symbolem stał się potem dzwon pojednania.

Krajewski i Łabuszewski zatytułowali swoją polemikę „Białostockie – między różnymi sposobami widzenia historii”. Tak, potwierdzamy, mamy inne podejście do historii: mamy więcej wątpliwości, nie dzielimy źródeł na lepsze i gorsze, ale do wszystkich podchodzimy równie krytycznie i nie mamy tendencji do dwubiegunowego postrzegania rzeczywistości. Krajewski i Łabuszewski, oceniając sytuację powojenną, piszą: „jedni uczestnicy tych zmagania walczyli o niepodległość i suwerenność Polski oraz wolność człowieka, inni sprzymierzeni z komunistycznym okupantem – walczyli przeciw tym wartościom” (s. 132). My dostrzegamy jeszcze rzesze tych, którzy byli pomiędzy tymi biegunami, którzy przede wszystkim chcieli żyć, choć mogli sympatyzować z jednym lub drugim. Przestrzegamy natomiast Panów Polemistów przed z pozoru efektownymi porównaniami wydarzeń z wieku XVII i XX. I dlatego nie porównujemy ich z Janem Chryzostosem Paskiem.

Nie chcemy specjalnie zabierać głosu na temat koncepcji numeru białostockiego „Biuletynu IPN”, gdyż głos decydujący należał do Redakcji, z natury rzeczy nie mógł to być zarys dziejów regionu. Skoro w numerze nie było w zasadzie tekstów poświęconych stosunkom polsko-białoruskim, to może dobrze, że otwierająca numer rozmowa dotyczyła głównie kwestii stosunków z mniejszościami narodowymi. Można było oczywiście zamiast nudnego, choć poprawnego artykułu o strukturach organizacyjnych powojennego podziemia zamieścić artykuł o znakomitej akcji białostockiej AK w 1942 r., który „poszedł” dopiero na na-

stępnym numerze (M. Zwolski, *Jak Zbyszek Rećko wyprowadził w pole gestapo*) – byłby kontrast dla nieudanej akcji w Sokołach.

Powracając do autorów polemiki – nie zazdrościmy im braku wątpliwości i zdecydowania w ocenach, chcielibyśmy tylko przypomnieć, że taki sposób uprawiania historii w Polsce już minął, co prawda wtedy chodziło o co innego, ale mechanizmy – jak się okazuje – są podobne.

Anna Pyżewska
Jan Jerzy Milewski

BIAŁOSTOCKIE – CZYLI MIĘDZY DWOMA SPOSOBAMI PROWADZENIA DYSKUSJI

Dyskusja, jak wynika ze słownikowej definicji, zakłada wymianę poglądów na określony temat. Z założenia, poglądów także różnych – wynikających z różnej interpretacji zdarzeń, światopoglądu, szkół warsztatowych, zakresu wiedzy itp. Wymiana owych poglądów dla osób traktujących naukę profesjonalnie stanowi główną płaszczyznę konfrontowania wiedzy nabytej i jej poszerzenia. Tych kilka banalnych słów wstępu – pozornie tylko niezwiązanych z tekstem polemicznym autorstwa kolegów z Oddziału Białostockiego – jest niestety w pełni uzasadnione. Czytając bowiem ich wywód, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że rozprawiamy generalnie o zupełnie innych kwestiach. Wrażenie wzmacnia dodatkowo przeświadczenie naszych adwersarzy o „przejrzeniu” naszych „prawdziwych” intencji. Mając na celu maksymalne uproszczenie owej „dyskusji”, pragniemy poinformować, że celem naszym było:

- po pierwsze: zwrócenie uwagi na tezy charakter jednego z tekstów,
- po drugie: na niewykorzystanie podstawowej bazy źródłowej,
- po trzecie: na konieczność opracowywania naukowego edycji źródeł, które podane *non præt* wypaczają obraz rzeczywisty.

Po czwarte wreszcie, z całą pewnością intencją naszą nigdy nie było, nie jest i raczej nigdy nie będzie narzucanie komukolwiek jakiegokolwiek wersji interpretacyjnej. Nasza polemika w sposób czytelny – uważaliśmy, że dla wszystkich – zwracała uwagę właśnie na możliwość różnego odczytywania cytowanych źródeł, co nie powinno – jak do tej pory sądziliśmy – sprowadzać kolejnych „odstón” sporu do kwestii personalnych.

Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski

BIAŁOSTOCKIE I... „WOJNA DOMOWA”

Panowie Kazimierz Krajewski i Tomasz Łabuszewski wystąpili w artykule *Białostockie – między różnymi sposobami widzenia historii* w obronie bohaterskich zachowań społeczeństwa Białostockiego w czasie wojny i „za drugich Sowietów”: pełnego bohaterstwa, poświęcenia, wierności ideałom walki o wolność i niepodległość ojczyzny. Rzecz w tym jednak, że takich postaw nikt z naszej trójki rozmówców (J. Milewski, E. Mironowicz, A. Dobroński) nie negował. Staraliśmy się jedynie pokazać, że społeczność regionu była silnie zróżnicowana, składała się nie tylko z kręgów patriotycznych. Inaczej reagowały na zachodzące zmiany liczne grupy mniejszości narodowych (zwłaszcza Białorusinów); obaj autorzy w swej funda-

mentalnej pracy *Białostocki Okręg AK-AKO* przytoczyli fragmenty tekstów wytworzonych przez podziemie niepodległościowe, a świadczących o niestety dość częstych zachowaniach „bandyckich” (nie mylić z interpretacją propagandy komunistycznej!), z biegiem czasu przybywało osób rezygnujących z czynnego oporu przeciw nowej narzuconej władzy. Historia tamtego okresu to nie tylko etos walki, trzeba podjąć rozległe, rzetelne badania nad codziennością dramatycznych lat Polski zniewolonej (pod trzecią okupacją?).

Osobiście „oberwało” się mi za stwierdzenie, że można używać w odniesieniu do Białostoczczyzny terminu wojna domowa. I oberwało się słusznie, ale nie tyle za wypaczone poglądy, co za niezręczność sformułowania. Wielokrotnie i przy różnych okazjach tłumaczyłem braci kombatanckiej (pamiętam na przykład dyskusje z Jerzym Ślaskim), że nie było wojny domowej na ziemiach polskich, a „wyklęci żołnierze” upierali się przy swoim. Oni właśnie, a nie żadni „beneficjenci półwiekowego okresu rządów komunistycznych”, bo chcieli w ten sposób podkreślić swą ówczesną siłę, sprawną organizację, dobre opanowanie rzemiosła wojennego, ogromną determinację, jednak i odnoszone sukcesy bojowe, ofiarne wsparcie uzyskiwane od ludności cywilnej. I w tym kontekście powiedziałem o wojnie domowej na „tym terenie”; *mea culpa!* Pocieszam się, że panowie K. Krajewski i T. Łabuszewski w swej łaskawości dopuścili możliwość, iż to moje stwierdzenie było „przynajmniej zbyt proste”. Tym podniesiony na duchu odrzucam podszepty kolegów, jakoby określenie „beneficjent półwiekowego okresu rządów komunistycznych” mogło odnosić się także do mnie.

Pozostaję z wyrazami szacunku

Adam Dobroński

Wyjaśnienie

Autorem zdjęć ilustrujących artykuł Arkadiusza Matyszki *Ostatnia ścieżka zdrowia w Poznaniu* „Biuletyn IPN” 2006, nr 1–2, s. 67 i n.) jest Jan Kołodziejcki. Autora fotografii przepraszamy za brak podpisu.

DAMY I HUZARY

Podczas lektury tekstu Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego zamieszczonego w numerze 1–2 (60–61) 2006 „Biuletynu IPN”, a zwłaszcza jego części dotyczącej artykułu Anny Pyżewskiej¹, przypomniałem sobie o „uroczym i tajemniczym wierszyku” unieśmiertelnionym w opowiadaniu Witolda Gombrowicza *Pamiętnik Stefana Czarnieckiego* – brzmi on tak: „Raz, dwa, trzy, wszystkie Żydy psy, a Polacy złote ptacy, a wychodzisz ty”. Tego rodzaju schemat interpretacyjny, stosowany zresztą nie od dziś w naszym piśmiennictwie dotyczącym stosunków polsko-żydowskich, trudno pozostawić bez komentarza.

Niektóre ze spraw poruszonych przez Krajewskiego i Łabuszewskiego są kompletnie niezrozumiałe, a już zarzut, iż „likwidację” w Sokołach autorka „postrzega w związku z osobą” Kazimierza Kamińskiego „Huzara”, jest wręcz zdumiewająca. Obaj polemisi najwyraźniej chyba zapomnieli, co sami napisali na ten temat: „17 lutego 1945 r. patroli »Huzara« i »Zemsty« udały się do Sokołów, aby wykonać cztery wyroki śmierci na »szpiclach NKWD« narodowości żydowskiej. Skazani uczestniczyli właśnie w zebraniu odbywającym się w jednym z domów w Sokołach. Choć zaskoczeni, stawili opór i doszło do zamieszania, podczas którego przewrócono lampę naftową. Wykonawcy wyroku otworzyli ogień na oślep, zabijając 7 spośród 20 uczestników zebrania (w tym dziecko)”². Dlaczego więc teraz, polemizując z Pyżewską, przypisują tę akcję jedynie patrolowi Karola Gasztofta „Zemsty”, dając wiarę wersji Kamińskiego, pochodzącej ze śledztwa prowadzonego w 1953 roku? Mogliby przecież po prostu przyznać się do błędu.

Nie inaczej jest w przypadku kolejnego zarzutu, który Krajewski i Łabuszewski czynią Pyżewskiej, a mianowicie selektywnego – ich zdaniem – podejścia do źródeł. W swej rekonstrukcji wydarzeń czerpie ona wyłącznie z relacji żydowskich i powojennych materiałów śledczych, pomijając dokumentację organizacji niepodległościowych. Zasada, że należy wykorzystywać wszystkie dostępne źródła, nie podlega dyskusji, z zastrzeżeniem jednakowoż, że powinna obowiązywać wszystkich. Tymczasem obaj polemisi nie tylko nie widzą nic nagannego w rezygnacji z lektury źródeł żydowskich, co już jest zabiegiem wysoce kontrowersyjnym, lecz także dosyć pobieżnie traktują dokumenty polskie. W swojej rekonstrukcji faktów korzystają przede wszystkim z anonimowej relacji złożonej przez żołnierza AKO, uczestnika wydarzeń (nb. zatajenie jego nazwiska „ze zrozumiałych względów” dla mnie zrozumiałe nie jest, a niepodanie daty złożenia relacji to brak profesjonalizmu), oraz „książki egzekucji” obwodu Wysokie Mazowieckie. Najważniejszy jest tu drugi z wymienionych do-

¹ K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Białostockie – między różnymi sposobami widzenia historii*, „Biuletyn IPN” 2006, nr 1–2, s. 137–140.

² K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Białostocki Okręg AK-AKO (VII 1944 – VII 1945)*, Warszawa 1997, s. 240–241.

kumentów, przechowywany obecnie w archiwum IPN w Warszawie (autorzy odsyłają czytelnika do dawnej sygnatury z archiwum b. MSW). Pod datą 17 lutego 1945 r. znajdujemy tam taki oto zapis: „Zlikwidowano 5 żydów i 2 żydówki w Sokołach. Dowódca patrolu otrzymał rozkaz zlikwidowania 4 żydów szpicli NKWD, lecz z chwilą wejścia patrolu żydzi porwali się do obrony rzucając się na patrol z siekierami wobec czego zostali wystrzelani wszyscy żydzi, którzy nie zdołali ujść. Było tam obecnych około 20 żydów. Odbywało się tam jakieś zebranie”³.

W cytowanej już monografii białostockiego okręgu AK-AKO Krajewski i Łabuszewski pozostawili całą tę sprawę, podobnie zresztą jak większość akcji likwidacyjnych, bez jakiegokolwiek komentarza. Do odpowiedzi poczuli się wywołani dopiero tekstem Pyżewskiej. Z ich perspektywy zasadność akcji oraz „wina” ofiar nie podlega żadnej dyskusji: działania patrolu AKO miały głębokie – i to nawet podwójne – uzasadnienie. Nie dość, że oddział likwidacyjny działał zgodnie z rozkazem z góry, to jeszcze, od pewnego momentu, była to samoobrona! Co prawda do pewnego stopnia winę za rozwój wypadków ponosić miał wywiad obwodu i bezpośredni wykonawcy, lecz wywody obu historyków nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że w pewnej mierze winne są również same ofiary. Krajewski i Łabuszewski są w stanie co najwyżej wyrazić żal, że „w efekcie zginęły także osoby niewinne, w tym dzieci – co jest straszną tragedią”. Stosując liczbę mnogą (dzieci), nie dostrzegają jednak, że dokonują pewnej rewizji swego dotychczasowego oglądu rzeczywistości: o ile informacja o pierwszym dziecku pochodzi ze wspomnianej już anonimowej relacji, o tyle druga pochodzi z relacji żydowskiej. „Książka egzekucji” – o dzieciach nie ma w niej mowy – wyraźnie zamazuje rzeczywistość, czemu zresztą trudno się dziwić. Pytanie jednak, czy dzieje się tak tylko w tym miejscu. Nawet jeśli założymy, że celem AKO była rzeczywiście likwidacja „4 szpicli”, to jest możliwe, że wszyscy oni uszli z życiem. Nie mówiąc już o tym, że wedle innych przywoływanych w tekście Krajewskiego i Łabuszewskiego materiałów, celem akcji miała być tylko jedna osoba – w takim przypadku wychodzi na to, że zastrzelono sześć przypadkowych osób, a to (chyba) zupełnie zmienia postrzeganie tego zdarzenia. Krajewski i Łabuszewski przechodzą do porządku dziennego nad zakłopotaniem mówiącego o „incydencie” w Sokołach świadka – żołnierza AKO: „to, co się tam zdarzyło, to było tylko omyłkowo, chodziło tylko o jednego z nich, na którym miał być wykonany wyrok. Nie było to zamiarem, żeby ich tam....”. Co więcej, pisząc swą książkę, konsekwentnie, o czym już była mowa, upierali się przy wersji zastrzelenia czterech szpicli.

Moim celem nie jest jednak rozważanie moralnych aspektów tej sprawy, lecz zwrócenie uwagi na bardziej generalny problem podejścia do tużpowojennej rzeczywistości. Krajewskiego i Łabuszewskiego nie interesuje tożsamość zabitych Żydów ani kontekst okupacyjny, mający wpływ na ich powojenne postawy. Celem ich polemiki jest tylko i wyłącznie obrona dobrego imienia Kamieńskiego „Huzara”. Tymczasem, jak to zwykle bywa, sprawa jest niejednoznaczna i bardziej skomplikowana. Biorąc pod

³ AIPN, MBP, AK 574, Białystok, Książka Egzekucji Obwodu nr 5 (2), założona 1 I 43 – do 2 V 45 (Wysokie Mazowieckie), k. 16.

uwagę relację Michała Majka, z którą Krajewski i Łabuszewski nie widzieli powodu się zapoznać, wśród obecnych na zebraniu można nie tylko „wytupować” kandydata na „szpicla”, ale i poznać jego motyw. Mógł nim być inżynier Dawid Żółty, który, jak wynika z charakterystyki sporządzonej przez Majka, ukrywał się wraz z matką przez dwa lata w lesie i, co chyba ważne, stracił ojca i brata – zginęli oni z polskich rąk. Z tego, co pisze Majek, Żółty chciał zemsty na „morderczych bandach AK i NSZ”⁴. Być może nawet znalazł zrozumienie wśród swoich towarzyszy – grupy zwykłych ludzi uratowanych cudem z okupacyjnej zawieruchy. To jednak tylko spekulacje.

I sprawa kolejna: Krajewski i Łabuszewski incydent w Sokołach traktują jako odosobniony. Wskazują, słusznie zresztą, że w „książce egzekucji” z okresu niemieckiej okupacji rzadko odnotowywano likwidacje Żydów (do tego motywu jeszcze powrócę). Zapominają natomiast o akcji w Czyżewie, którą tak opisali w swojej książce: „24 marca 1945 r. oddział samoobrony wszedł do Czyżewa, gdzie zlikwidował 13 osób. Zabito 9 osób narodowości żydowskiej oskarżonych o współpracę agenturalną z Sowietami, 3 agentów pochodzenia polskiego [...] oraz lejtnanta sowieckiego, który chwycił za broń”⁵. Mimo że nie mówi się wprost, o jaki oddział chodzi, można wnioskować, że bohaterem tej historii jest „Huzar”. Akcję przeprowadzono trzy tygodnie po „wypadkach” w Sokołach. Nie bez znaczenia będzie, jak sądzę, zestawienie tego fragmentu książki Krajewskiego i Łabuszewskiego z zapisem uczynionym we wspomianej już „książce egzekucji”. Pod numerem 111 znajduje się taka oto adnotacja: „24 III 1945 zlikwidowano w Czyżewie następujących szpicli: 1 Żyda i 8 Żydówek oraz lejtnanta sowieckiego, stojącego w obronie szpicli. Bolszewik ten przez swe strzały zaalarmował żydów szpicli i część ich przez to uciekła. Też nocy zlikwidowano jeszcze trzech szpicli sowieckich i niemieckich”⁶.

Różnice między tekstem źródła a cytowanym tu fragmentem z książki nie są, przynajmniej dla mnie, bez znaczenia. Bo, moim zdaniem, czym innym jest zastrzelenie „9 osób narodowości żydowskiej”, czym innym jednego Żyda i ośmiu Żydówek. Można postawić pytanie o przyczyny zatarcia tej różnicy i przejście do porządku dziennego nad tym budzącym wiele wątpliwości faktem. Nie znam innych materiałów ani żydowskich, ani polskich dotyczących przebiegu tego incydentu. Jednak analizując „książkę egzekucji”, trudno dać wiarę „aktowi oskarżenia”. Oto przykład: pod datą 8 maja 1944 r. zapisano tam: „Protokół spisany przez wywiadowcę Kopra w sprawie ustalenia winy Roszkowskiego Czesława zamieszkałego w Dzierżki-Ząbkach. Przesłuchani świadkowie 1. »Jurek«, 2. »Damel« zeznali co następuje: My niżej podpisani stwierdzamy pod naszą osobistą odpowiedzialnością, że znany nam dobrze Czesław Roszkowski zamieszkały w Dzierżkach-Ząbkach lat ok. 35 jest zawodowym złodziejem – pijakiem, za czasów sowieckich był milicjantem (czas krótki), konfiskował konie od gospodarzy, które posiadali pochodzenia wojskowego. Za czasów nie-

⁴ AŻIH, 301/977, Relacja Michała Majka, 1 X 1945 r.

⁵ K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Białostocki Okręg...*, s. 241.

⁶ AIPN, MBP, AK 574, Białystok, Książka Egzekucji Obwodu nr 5 (2), założona 1 I 43 – do 2 V 45 (Wysokie Mazowieckie), k. 34.

mieckich trudni się w dalszym ciągu złodziejstwem, napotkanych żydów zabija z chęci zysku. Przepuszczamy, że jeśli wejdą bolszewicy, on zaszkodzi osobom dziś pracującym w konspiracji”. Następnego dnia, pod numerem 79, zapisano: „we wsi Ząbki-Dzierzki zlikwidowano złodzieja i komunistę Roszkowskiego Czesława”⁷.

Niewykluczone, że zastrzelone kobiety miały tyle samo wspólnego z sowiecką agenturą co rzeczony Roszkowski z komunizmem. Jeżeli były agentkami, dlaczego nie ma ich nazwisk w „książce likwidacji”, w której z reguły widnieją nazwiska osób skazanych? Krytykom Pyżewskiej umyka zastanawiająca tendencja: w Sokołach zlikwidowano bowiem nie pięciu mężczyzn i dwie kobiety, lecz trzech mężczyzn, dwie kobiety i dwoje dzieci [Dawid Kaszczewski był więźniem Majdanka, z obozu powróciła również Basia Wajnsztajn, nie wiem, jak przeżyła wojnę 22-letnia Szajna Aszlak, podobnie jak 20-letni Szamaj Litwak i jego 13-letni brat Szyjke oraz czteroletnia sierota Tolka Żytawer], w Czyżewie jednego mężczyznę i osiem kobiet. Czyli w sumie zastrzelono: czterech mężczyzn, dziesięć kobiet i dwoje dzieci. Liczby te aż proszą się o jakiś sensowny komentarz.

Poruszę jeszcze jedną sprawę, w moim przekonaniu ważną. Łabuszewski i Krajewski, jako się rzekło, bronią „Huzara” przed zarzutem antysemityzmu. Sami zaś powtarzają stereotypowy zarzut, stawiany Żydom, o agenturalność i prosowieizm. Zdumienie wywołane faktem, że ocaleni Żydzi nie są polskimi patriotami, ma zresztą dość długą historię. Niezwykle ciekawy jest już ogląd „spraw żydowskich” przedstawiony przez komendanta białostockiego Okręgu AK Władysława Liniarskiego „Mściśława” w październiku 1944 r., tuż po wejściu Sowietów na Białostoczczyznę: „Z chwilą nastąpienia trzeciej okupacji nastąpiło ciekawe zjawisko zjednoczenia narodowo-państwowego ludności na terenie Sarny [kryptonim okręgu Białystok – D.L.]. Zniknęły objawy odśrodkowych dążeń, tzn. mniejszości narodowych. Żydów pozostało dzięki życzliwej chrześcijańskiej opiece ludności polskiej w całym okręgu ok. 3000. Wszyscy zrezygnowani [*sic!*] zerwać z dotychczasową ich siedzibą tj. Polską i wyemigrować do Ameryki. Do prac Polski Podziemnej wciągnąć się nie dadzą. Częściowo nieliczni pracują w urzędach PKWN”⁸.

Skąd ten dystans wobec podziemia niepodległościowego? „Mściśław” najwyraźniej zapomniał o swojej ocenie nastrojów społecznych sprzed kilku miesięcy: „Dzisiaj ludność z radością myśli o rozwoju rzemiosła, a zwłaszcza o możliwości umieszczenia w rzemiośle swoich dzieci w przyszłej odrodzonej Polsce i porównuje stan niewoli u żydów pod tym względem, jako miniony bezpowrotnie koszmar. Brak żydów w rzemiośle w Okręgu Bekasa [kryptonim Okręgu Białystok – D.L.] jest prawdziwym dobrodziejstwem i Łaską Boską dla polskiej ludności, która w ten sposób głośno to wyraża. Takie same nadzieje pokłada ludność w handlu opanowanym już dzisiaj przez Polaków”⁹. Zapomniał o swoim rozkazie, w którym nakazywał likwidować

⁷ *Ibidem*, k. 43.

⁸ AIPN, MBP, AK 558, Raport sytuacyjny i wyw.-polit. nr 8 za miesiąc sierpień i wrzesień 1944, 10 X 1944 r., k. 118.

⁹ AAN, 203/XIV – 1, Raport polityczny za miesiąc listopad 1943, 5 XII 1943 r., k. 18.

„wszystkich szpiclów i donosicieli – Polaków, komunistów i bandy komunistyczno-żydowskie i wszystkie osoby zagrożające bezpieczeństwu Armii Polskiej”¹⁰. Zapomniał wreszcie o „Ogólnej instrukcji o pracy organizacyjnej w obwodzie”, którą parafował 20 października 1941 r., a w której czytamy: „Nie wolno przyjmować do pracy organizacyjnej: żydów, moskali, niemców i tych Polaków, którzy nadużywają alkoholu, są niedyskretni i mają zmienne zapatrywania”¹¹. Fakty tego rodzaju nie są bez znaczenia z punktu widzenia historii Żydów i Polaków i powinny być uwzględniane w analizie sytuacji powojennej. Jeśli domagamy się zrozumienia racji żołnierzy podziemia traktujących ocalałych Żydów jako potencjalne czy realne zagrożenie, nie możemy ignorować uwarunkowań postaw i zachowań Żydów.

W podsumowaniu swoich rozlicznych pretensji wypowiedzianych pod adresem Anny Pyżewskiej Krajewski i Łabuszewski napisali: „Opis wydarzeń w Sokołach dokonany przez Annę Pyżewską jest wybiórczy i daleki od obiektywizmu, a dla żołnierzy podziemia niepodległościowego, zwłaszcza komendanta »Huzara« – niezwykle krzywdzący”. Moim zdaniem uwagi te w całej rozciągłości odnoszą się do nich samych. To ich wywody rażą stronniczością, a analiza źródeł pozostawia wiele do życzenia.

Dariusz Libionka

NAZYWAJMY RZECZY PO IMIENIU

Podobnie jak Dariusza Libionkę bardzo poruszył mnie ton polemiki Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego (*Białostockie - między różnymi sposobami widzenia historii*, „Biuletyn IPN” 2006, nr 1-2) z Anną Pyżewską, autorką opublikowanego we wcześniejszym „Biuletynie IPN” artykułu *Tragedia w Sokołach - 17 lutego 1945 r.* Całkowicie się zgadzam z wnikliwą analizą owej polemiki przeprowadzoną przez Darka Libionkę, który odsłania pokrętne (i, jak widać, nieprzekonujące) zabiegi autorów, by na bliskiego ich sercem Kazimierza Kamińskiego „Huzara” nie padł nawet cień podejrzenia, iż dawał swoje przyzwolenie na „likwidację” uratowanych z pożogi wojennej Żydów przez podlegających mu żołnierzy antykomunistycznego podziemia.

Chciałbym dodać kilka szczegółów odnoszących się do jednego z wątków tej polemiki, a mianowicie okoliczności zabójstwa Dory, Mordechaja i Icka Dorogojów, oraz sposobu przedstawienia tej sprawy przez Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego.

¹⁰ AAN, 203/XIV – 1, 30 VII 1943 r., nr 462, k. 1.

¹¹ AIPN, MBP, AK 556, Ogólna instrukcja o pracy organizacyjnej w obwodzie, 20 X 1941 r., Komenda Okręgu, podpisany Mścisław, k. 6.

Po pierwsze, mój zdecydowany sprzeciw budzi ich insynuacja, że Anna Pyżewska pisząc, iż „wykonawca likwidacji [żołnierz AKO Antoni Kosmaczewski – A.Ż.] działał z obawy przed zemstą obu Dorogojów, gdyż latem 1941 r. miał zabić osobę z ich rodziny – Dorę Dorogoj”, czyni to w celu „tworzenia specyficznego klimatu artykułu”, a w ogóle sprawę Dorogojów wykorzystuje do „tworzenia klimatu niedomówienia”.

Po drugie, zarzut, że Anna Pyżewska, „świadoma, że znaczna część ocalałych z zagłady Żydów utożsamiała się z władzami komunistycznymi [...] nie przyjmuje do wiadomości okoliczności, iż likwidacja obu Dorogojów mogła być uzasadniona i stanowić konsekwencję ich wrogiej postawy wobec podziemia niepodległościowego” jest dla mnie całkowicie niezrozumiały. Identyczna bowiem pod względem logicznym byłaby taka oto konstrukcja: „znaczna część żołnierzy ocalałych z Powstania Warszawskiego utożsamiała się z władzami przedwojennej Rzeczypospolitej, toteż ich likwidacja mogła być uzasadniona i stanowić konsekwencję ich wrogiej postawy wobec Związku Sowieckiego”. Jestem pewny, że pod takim zdaniem autorzy tej polemiki by się nie podpisali.

Po trzecie, Anna Pyżewska, piszą polemici, „nie bierze pod uwagę powodów utraty życia przez Dorę Dorogoj ani też okoliczności, iż obaj członkowie jej rodziny mogli zaferować swe usługi NKWD i w ten sposób mścić się na uczestnikach podziemia niepodległościowego, co ich likwidację szeregowałoby z pewnością nie w kategorii działań podejmowanych z motywów osobistych”.

Okoliczności śmierci Dory Dorogoj analizowałem bardzo szczegółowo w artykule *Pogromy i mordy ludności żydowskiej w Łomżyńskim i na Białostoczczyźnie latem 1941 roku* (w: *Wokół Jedwabnego*, red. P. Machcewicz, K. Persak, Warszawa 2002, t. 1, s. 235–237). Oczywiście, można próbować kwestionować „Protokół przesłuchania podejrzanego Antoniego Kosmaczewskiego przez oficera śledczego PUBP w Grajewie Kazimierza Tchurza” (Grajewo, 6 kwietnia 1948 r., w: *Wokół Jedwabnego*, t. 2, s. 916–920), w którym przyznaje się on do zamordowania wraz z Zygmuntem Skrodzkiem Dory Dorogoj w Słuczu latem 1941 r. oraz w tej samej wsi w styczniu 1945 r. jej brata i ojca. Polemiści Anny Pyżewskiej jednak tego nie robią. A Kosmaczewski zeznał też, że słyszał od znajomych, iż „Żydzi Dorogoj mają nagan dziewiątkę i z niego mają cię zastrzelić”, w związku z czym, jak twierdził: „byłem w strachu i udałem się do dowódcy kompanii, gdyż należałem do nielegalnej organizacji AK, pytając się, co zrobić z tymi Żydami, i opowiedziałem mu całą rozmowę ze Skrodzkiem i z Ramotowskim. Dowódca mi powiedział, że jak masz świadków na to, to ich kropnij. Dowódca ten nazywał się [Antoni] Bojnarowski, z Radziłowa, lecz już nie żyje”. Czy tak było naprawdę, czy też jedynie w ten sposób Kosmaczewski próbował się bronić, trudno stwierdzić. W każdym razie następnego dnia zaczął się z siekierą na Dorogojów i zaskoczonych z zimną krwią zamordował.

Jakie więc inne motywy niż „osobiste” miałyby, według panów Krajewskiego i Łabuszewskiego, kierować Antonim Kosmaczewskim? Do jakiej „kategorii działań” proponują zaszeregować te morderstwa?

Całkowicie już absurdalne jest stwierdzenie, że „obaj członkowie jej rodziny mogli zaferować swe usługi NKWD i w ten sposób mścić się na uczestnikach podziemia

niepodległościowego”. Mogliby, ale – zgodnie z zasadami logiki – tylko wtedy, gdyby współpracę z nowymi władzami Dorogojowie rzeczywiście podjęli, a na to, jak wiemy, nie mieli żadnych szans, gdyż zostali skrytobójczo zamordowani 28 stycznia 1945 r. Nie twierdzę, że Kosmaczewski, który zeznał: „na froncie nie byłem i przez cały okres okupacji żadnego Niemca nie zabiłem”, budzi sympatię autorów polemiki. Jednak ewidentny mord przewencyjny – bo do takiej kategorii, moim zdaniem, należy zaliczyć „likwidację” Dorogojów, „usankcjonowaną i uwzględnioną w oficjalnej sprawozdawczości organizacyjnej AK-AKO” – uznają za dopuszczalny i uzasadniony. Tak jakby owo „usankcjonowanie i uwzględnienie” zmieniało postać rzeczy. A nie zmienia. Przeciwnie – to właśnie pokazuje „specyficzny klimat”, żeby się posłużyć frazeologią autorów, całej tej historii.

Przed karą wybroniła Antoniego Kosmaczewskiego sąsiedzka solidarność mieszkańców Słucza i Radziłowa. Główny świadek oskarżenia Franciszka Kopańczyk nie rozpoznała w nim jednego z morderców Dory Dorogoj, inni świadkowie dowodzili jego niepoczytalności. Mordem na ojcu i bracie Dory w ogóle na posiedzeniu Sądu Okręgowego w Ełku (styczeń 1949 r.) się nie zajmowano.

Andrzej Żbikowski

W ODPOWIEDZI „DAMOM”

CZYLI NIE TYLKO O TRAGEDII W SOKOŁACH – WYMIANY POGLĄDÓW
CIAĞ DALSZY

Z zakłopotaniem i niechęcią podejmujemy polemikę z dr. Dariuszem Libionką i dr. Andrzejem Żbikowskim w związku z ich tekstami pt. *Damy i Huzary oraz Nazywajmy rzeczy po imieniu...*, będącymi reakcją wspomnianych historyków na nasz artykuł *Białostockie - między różnymi sposobami widzenia historii* („Biuletyn IPN” 2006, nr 1-2) stanowiący z kolei polemikę z tekstem Anny Pyżewskiej *Tragedia w Sokolach 17 lutego 1945 r.* („Biuletyn IPN” 2005, nr 12). Wspomniane odczucia spowodowane są między innymi formą, jaką nasi antagoniści – a zwłaszcza dr Libionka – zdecydowali się zastosować, a która niestety – w opisie zdarzeń tragicznych – sprowadza się miejscami do niefortunnej – w naszej ocenie – groteski (poczynając od wyboru tytułu, a na technice przedstawiania swych poglądów kończąc). Zakładając jednak, że w sporze uczestniczą delikatne i poprawne politycznie „damy” oraz będące ich przeciwieństwem „Huzary”, pozwoliliśmy sobie nawiązać w swej odpowiedzi do tytułu artykułu dr. Libionki.

Teksty dr. Libionki i dr. Żbikowskiego uświadomiły nam, jak ogromna może być różnica w postrzeganiu, opisie, interpretacji i ocenie tych samych zdarzeń – ze strony historyków pracujących w tej samej instytucji, której zadaniem jest troska o narodową pamięć. Świadomość ogromu owej różnicy nie zachęca do kontynuowania pole-

miki, gdyż po zapoznaniu się z kolejnymi wystąpieniami wiadomo, jak trudno będzie stronom sporu przekonywać się co do słuszności swych racji. Dr Libionka stwierdza, że sposób prezentowania sprawy przez nas (nasz „schemat interpretacyjny”) jest dla niego „kompletnie niezrozumiały”, my zaś nie akceptujemy jego sposobu interpretowania – już nie tylko tragedii w Sokołach, ale zagadnień o znacznie szerszym znaczeniu. Podobnie jest z poglądami zaprezentowanymi przez dr. Żbikowskiego.

Powaga i rozległość tematu będącego przedmiotem wymiany poglądów skłaniają raczej do ogólnego spojrzenia na wspomniane różnice. Nie będziemy więc dążyć do odpowiadania na każde „uszczypnięcie”, jakie starają się nam zaaplikować nasi opoeneci, a zwłaszcza dr Libionka (wypada nam tylko poczynić jedną uwagę związaną z dopuszczalnym naszym zdaniem procesem zdobywania i poszerzania wiedzy – którego to dr Libionka – w naszym przypadku – zdaje się nie brać w ogóle pod uwagę – przy omawianiu naszej publikacji z 1997 r.). Ograniczymy się zatem do problemów, które, jak się wydaje, mają zupełnie zasadnicze znaczenie dla zaistniałej dyskusji, choć miejscami giną w nawale słów. Pierwsza kwestia – to zasadność wykonywanych przez podziemie niepodległościowe akcji likwidacyjnych na osobach współpracujących z okupantami, w tym konkretnym przypadku na obywatelach polskich narodowości żydowskiej likwidowanych pod zarzutem agenturalnej współpracy z NKWD i UB. Tragiczna pomyłka (doprawdy nie wiemy, jakich słów w tym kontekście powinniśmy użyć, aby nie narazić się na zarzut dr. Libionki – właśnie jaki?...), do jakiej doszło podczas wykonywania likwidacji współpracowników (współpracownika?) NKWD w Sokołach, nie uprawnia do formułowania uogólnienia, że działania te były wobec osób wskazanych do likwidacji nieuzasadnione. Dr Libionka podpira swą tezę przypomnieniem przypadku drugiej akcji oddziałów samoobrony Obwodu AK-AKO Wysokie Mazowieckie, w której zginęli Żydzi – tj. akcji wykonanej w Czyżewie 24 marca 1945 r. Okoliczność, że wśród dziewięciu osób narodowości żydowskiej wówczas zabitych było osiem kobiet, ma zdaniem dr. Libionki budzić wątpliwości co do zasadności akcji likwidacyjnej. Owszem, zgadzamy się, iż może budzić, ale przy braku źródeł kontrujących nie można wykluczyć prawdopodobieństwa także drugiej opcji – czyżby kobiety, bez względu na narodowość, nie mogły być współpracowniczkami NKWD lub bezpieki? Lektura „książki egzekucji” Obwodu AK-AKO Wysokie Mazowieckie pokazuje, że całkiem spora liczba kobiet narodowości polskiej została zastrzelona przez patrole likwidacyjne właśnie za pracę agenturalną – czy to na rzecz Niemców, czy komunistów. Co więcej, przypadek Czyżewa pokazuje, że podziemie „traktowało równo” współpracowników tajnych służb komunistycznych, bez względu na ich narodowość. Oprócz dziewięciu osób narodowości żydowskiej zabitych pod zarzutem współpracy z Sowietami, 24 marca 1945 r. zabito także trzech agentów narodowości polskiej. Dalszych sześć osób zamieszkałych w Czyżewie, oskarżonych o szpiclowanie, zostało zabitych w kolejnej akcji przeprowadzonej 3 maja 1945 r. Tym razem byli to wyłącznie obywatele polscy narodowości polskiej. Mamy więc w dwóch przeprowadzonych w Czyżewie akcjach „oczyszczania terenu” z agentury zabitych łącznie osiemnastu obywateli RP – dziewięciu narodowości żydowskiej i dziewięciu narodowości polskiej.

„Książka egzekucji” Obwodu AK-AKO Wysokie Mazowieckie jest cennym materiałem, nie daje jednak pełnego obrazu funkcjonowania podziemnego wymiaru sprawiedliwości na terenie tej struktury konspiracyjnej i egzekwowania jego decyzji. Dokumenty wywiadu i kontrwywiadu obwodu przygotowujące poszczególne sprawy w większości się nie zachowały. Do „książki egzekucji” dołączone są stosunkowo nieliczne materiały tego rodzaju – można jednak domniemywać, że istniały w większości spraw. Niestety, nie ma wśród nich meldunków przygotowujących od strony wywiadowczej likwidację osób oskarżonych o działalność agenturalną i zabitych 24 marca 1945 r. w Czyżewie. Miałyby one zasadnicze znaczenie dla dyskusji nad tym, czy zdarzenie w Czyżewie było akcją likwidacyjną przeprowadzoną zgodnie z formalnymi standardami przyjętymi w AK-AKO, czy też może przypadkiem patologii funkcjonowania konspiracji niepodległościowej. Musimy w tym miejscu dodać, że próba podważenia zasadności działania podziemnego wymiaru sprawiedliwości w Obwodzie AK-AKO Wysokie Mazowieckie dokonana na wyselekcjonowanym przykładzie mieszkańca wsi Dzierżki-Ząbki Czesława Roszkowskiego – na podstawie zapisu we wspomnianej „książce”, jest kompletnie nieprzekonująca. Roszkowskiego zastrzelono nie „za komunizm [błędnie domniemany]”, jak sugeruje dr Libionka, ale „za całokształt działalności w latach wojny”. Powiedzmy więc, co tam takiego znajdujemy w dorobku życiowym tego człowieka: złodziejstwo, kolaborację – służbę w sowieckiej milicji za pierwszej okupacji sowieckiej, mordowanie Żydów z chęci zysku i znów złodziejstwo. Już sama ochotnicza służba w formacji okupacyjnego sowieckiego aparatu represji stanowi wystarczającą przesłankę do postawienia zarzutu zdrady państwa i wskazuje na powiązania Roszkowskiego z „komuną”. Jest oczywiste, że likwidacja jednostki tak dalece zdegenerowanej, mającej już wcześniej kontakt z Sowietami, była wykonana prewencyjnie. Stwierdzenie ze strony osób wnioskujących o likwidację – „przypuszczamy, że jeśli wejdą bolszewicy, on zaszkodzi osobom dziś pracującym w konspiracji” – wydaje się w pełni zasadne. Skoro dr Libionka nie podziela tego poglądu, to zgodzi się jednak chyba z nami (i także z ludźmi z AKO), że mordowanie Żydów z chęci zysku w pełni kwalifikowało Roszkowskiego do postawienia przed plutonem egzekucyjnym.

Dr Libionka stawia nam też zarzut, że nie skorzystawszy w swej polemice z relacji sokołowskich Żydów, nie mieliśmy możliwości zapoznania się z ich motywacjami, zwłaszcza z motywacjami osób podatnych na współpracę z komunistycznymi służbami specjalnymi (motywacją tą, w przypadku jednego z nich, który – jak podaje dr Libionka – stracił rodzinę z polskich rąk, była chęć zemsty „na morderczych bandach AK i NSZ”). W swym dalszym wywodzie dr Libionka porusza kwestię fundamentalną, stawiając pytanie – czy od obywateli polskich narodowości lub pochodzenia żydowskiego, którzy przeżyli okupację niemiecką i Zagładę, można oczekiwać, by byli „patriotami polskimi”? Z kontekstu jego wypowiedzi wynika, że sam daje na to pytanie odpowiedź przeczącą – jego zdaniem nie można od nich tego oczekiwać, uważa za oczywiste, iż są zwolnieni już nie tylko z patriotyzmu, ale i zwykłej lojalności w stosunku do Polski. Warto na ten króciutki fragment wypowiedzi zwrócić uwagę, bo kryje się w nim zupełnie nowa teza, na miarę postulowanego przez dr. Toma-

sza Grossa afirmacyjnego i bezkrytycznego traktowania wszystkich relacji wytworzonych przez ocalałych z Zagłady. Być może wielu historyków gotowych byłoby zgodzić się z dr. Libionką. Pozostaje jednak jeden problem – są nim ci polscy Żydzi, którzy odmiennie niż spora część ich współbraci (i odmiennie, niż głosi teza dr. Libionki), kierując się polskim patriotyzmem, opowiedzieli się przeciw komunizmowi, a za dalszą walką o niepodległość. Znajdujemy ich nie tylko na emigracji, ale i w różnych organizacjach konspiracyjnych i oddziałach partyzanckich w kraju. Można tu wymienić np. komendanta jednego z obwodów NSZ na Podlasiu (skazanego na karę śmierci), dowódcę oddziału partyzanckiego ROAK (także skazanego na karę śmierci), pracowniczkę wywiadu NSZ z Białostoczczyzny (żonę wysokiego oficera UB) czy żydowskiego pracownika wywiadu XV Okręgu NZW. Okazuje się, że to, co jest tak oczywiste dla dr. Libionki, nie było oczywiste dla pewnej grupy obywateli RP narodowości lub pochodzenia żydowskiego – którym nasz oponent chciałby odebrać możliwość polskiego patriotyzmu.

W końcowym fragmencie swego artykułu dr Libionka zagalopowuje się tak daleko, że dyskutuje już nie z nami, lecz z tekstami sprawozdań komendanta Białostockiego Okręgu AK-AKO ppłk. Władysława Liniarskiego. Źródeł wrogich wobec Polski i Polaków postaw przejawianych przez ocalałych z Zagłady upatruje on między innymi w „polityce organizacyjnej” ZWZ-AK-AKO, przywołując instrukcję „Mściśława” z 20 października 1941 r., w której komendant okręgu zabraniał przyjmowania w szeregi organizacji nie tylko nieodpowiedzialnych osób narodowości polskiej, ale też Żydów, Moskali i Niemców. I znów wracamy do kwestii warsztatowych, a konkretnie potrzeby posługiwania się źródłami różnorodnej proveniencji. Gdyby dr Libionka znał nie tylko relacje ocalałych z Zagłady, ale i relacje żołnierzy Białostockiego Okręgu AK-AKO, wiedziałby, że czym innym jest sztywna – czasem martwa – litera oficjalnego dokumentu, a czym innym rzeczywista praktyka. W szeregach białostockiej AK spotykamy przypadki udziału i Moskali – nie tylko Rosjan z rodzin „białych emigrantów”, ale i obywateli sowieckich (*wostoczniców* i *okrążeńców*), i osób pochodzenia niemieckiego – w tym dezertków z armii niemieckiej z wyraźnie określoną w dokumentach przynależnością narodową, i wreszcie osób pochodzenia żydowskiego (niezbyt licznych wprawdzie, wywodzących się głównie ze zasymilowanej inteligencji). W sąsiednim Nowogródzkim Okręgu AK stosunkowo licznych Żydów odnajdujemy w 1943 r. w Batalionie Partyzanckim Obwodu Stołpce (uznawanym za jedną z najbardziej „antykomunistycznych” jednostek tego okręgu). Niektórzy z tych ludzi dobrowolną służbę w polskiej AK przyłącili życiem (przywołać tu można m.in. poruszającą relację z obwodu Bielsk Podlaski mówiącą o ostatnich chwilach życia Rosjanina służącego w oddziale AK, który śmiertelnie ranny w starciu z bandą komunistyczno-rabunkową zażądał od swego dowódcy, by powiedział jego znajomym z podlaskiej wioski, że „umarł za Polskę”).

Dr Libionka zarzuca nam też selektywne korzystanie ze źródeł i niewykorzystanie relacji żydowskich dotyczących sprawy Sokołów, o czym była już mowa. Możemy dodać, że poznawanie motywacji agentów nie było najważniejszym celem, jaki stawialiśmy sobie w pracy o Białostockim Okręgu AK-AKO. Interesowały nas fakty i ich

konsekwencje dla społeczeństwa i struktur niepodległościowych. Musimy jednak zauważyć, że trudno przyjąć nam pouczenia udzielane w tym zakresie przez naszego oponenta, zważywszy jak dr Libionka sam instrumentalnie traktuje poszczególne źródła. Doprawdy nie wiadomo, dlaczego tak chętnie korzystający z zeznań składanych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych przed sądami komunistycznymi i wręcz budujący na materiałach tego rodzaju zasadnicze tezy swych niektórych publikacji (zob. D. Libionka, P. Reszka, *Święto zmarłych w Rechcie*, „Karta” 2005, nr 46) – akurat w kwestii „Huzara” podważa ich wiarygodność. Rodzi to wrażenie, że jeśli zeznania są po jego myśli, tak jak w sprawie wydarzeń w Rechcie – korzysta z nich, jeśli zaś mu nie odpowiadają, tak jak w sprawie Sokołów – uważa, że są niewiarygodne i osobom posługującym się nimi czyni zarzut niedoskonałości warsztatu. Pozostawiamy to bez dalszego komentarza.

„Wywołani do odpowiedzi” przez dr. Libionkę wyjaśniamy, że w pracy o Białostockim Okręgu AK-AKO, opisując akcję patroli samoobrony Obwodu AKO Wysockie Mazowieckie z 17 lutego 1945 r. przeprowadzoną w Sokołach (do czego dr Libionka się odwołuje), niczego nie staraliśmy się ukrywać, a szczegółowej analizy czynności obu patroli obecnych w miasteczku nie dokonywaliśmy ze względu na formę pracy i zwięzłość opisu przez nas zastosowanego (czynimy to natomiast w przygotowywanej przez nas bardziej szczegółowej pracy, poświęconej oddziałowi „Huzara”). Ze wspomnianego naszego tekstu w żaden sposób nie wynika jednak, by „Huzar” był w jakikolwiek sposób czynny przy likwidacji sokołowskich Żydów. Oczywiście, pozostaje pytanie, czy sama obecność w miasteczku, w którym odbywa się akcja likwidacyjna – to dla dr. Libionki jest już udział w likwidacji, czy jeszcze nie.

W kwestii postulowanego przez dr. Żbikowskiego „nazywania rzeczy po imieniu” trzeba dopowiedzieć to, co nie zostało do tej pory wyraźnie powiedziane w sprawie Wierzy Dorogoj. Kluczem do całej tragedii są powody, dla których utraciła ona życie. Sam dr Żbikowski w swym artykule *Pogromy i mordy ludności żydowskiej w Łomżyńskim i na Białostoczczyźnie latem 1941 r.* (w: *Wokół Jedwabnego*, red. P. Machcewicz, K. Persak, Warszawa 2002, t. 1, s. 235) stwierdza, że w kwietniu 1940 r. wraz z funkcjonariuszem NKWD Milbergiem i przewodniczącym sielsowietu Babińskim „uniemożliwiła ona ucieczkę” dwóch Polek przeznaczonych do aresztowania i wywózki, a także przyczyniła się do ujęcia przez NKWD człowieka, który im pomagał – czyli swego późniejszego zabójcy Antoniego Kosmaczewskiego. Nazywajmy rzeczy po imieniu – to znaczy odpowiedzmy na pytanie, czy Wiera Dorogoj zadenuncjowała wspomniane Polki i Kosmaczewskiego, czy też czynnie – jak funkcjonariusz sowiecki – uczestniczyła w ich ujęciu? W każdym razie to właśnie jest początek spirali zbrodni i tragedii związanej z rodziną Dorogojów. Zło raz uczynione przez Wierę Dorogoj wobec polskich „sąsiadów”, jej udział w działaniach sowieckiego aparatu represji, wywołało w konsekwencji dalsze tragedie.

Dr Żbikowski ocenia jako absurdalną tezę mówiącą, że obaj członkowie rodziny Wierzy Dorogoj (ojciec i brat) zabici 28 stycznia 1945 r. mogli swe usługi zaofiarować NKWD i w ten sposób mścić się na uczestnikach podziemia niepodległościowego – i chce całą sprawę sprowadzić do prywatnych dwustronnych porachunków. Element

osobistego zaangażowania w sprawę ze strony Kosmaczewskiego oczywiście istnieje, obawiamy się jednak, że nasz oponent nie musi mieć tu racji. W chwili śmierci Dorogojów rządu komunistyczne w powiecie szczuczyńskim trwały już prawie dwa tygodnie – był czas, by skontaktować się z NKWD, Dorogoje mieli broń palną – nagan – i wyraźnie odgrążali się, zapowiadając zemstę na swoich wrogach (przypomnijmy – za posiadanie broni czekało mieszkańca tych terenów aresztowanie, wywózka do obozów w Rosji lub nawet kara śmierci).

Wydaje się, że polemika, jaka zarysowała się w gronie pracowników IPN na tle artykułu Anny Pyżewskiej o tragedii w Sokołach, jest nie tyle dyskusją o warsztacie pracy historyka – do czego chwilami sprowadza ją dr Libionka, lecz dotyczy odmiennych sposobów postrzegania, opisywania i interpretowania historii najnowszej w ogóle.

Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski

Od redakcji: na tym kończymy dyskusję na temat tekstów z „Biuletynu IPN” 2005, nr 12 (59).

**Informacje na temat działalności IPN,
zapowiedzi konferencji i wystaw
organizowanych przez Instytut,
wnioski dotyczące ubiegania się
o status pokrzywdzonego
znajdziesz na stronie
www.ipn.gov.pl**